



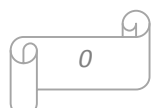
*EMMA GOLDRICK*



*Panna Latimore  
wychodzi za mąż*

---

Tytuł oryginału: Bringing Up Bables



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Zerwałaś z Alfredem?

Pani Latimore podniosła oczy znad robótki i popatrzyła na swą najmłodszą córkę, która nerwowo chodziła po pokoju, wymachując rękoma, zaciskając pięści.

- Tak - odparła Hope z hamowaną złością. - Nieodwołalnie. Ale proszę cię, mamó, nie mów nic tatusiowi, dobrze?

Mary Kate Latimore przestała haftować.

- Przecież i tak się dowie, bo przyjaźni się z ojcem Alfreda - zauważyła spokojnie. - Ich znajomość jednak nie ma nic do tego, z kim ty się spotykasz i za kogo wyjdiesz.

- Ale on powiedział...

- Jaki on? Alfred?

- Tak. Powiedział, że tata będzie bardzo niezadowolony i groził, że... że ja pożałuję i popamiętam, jeśli on wszystko powie. Śmiał się złośliwie i...

- .. .ty przez całą noc nie zmrużyłaś oka z powodu takiego drobiazgu? Myślałam, że masz więcej rozsądku i że lepiej znasz swego ojca.

- Czasami mam poważne wątpliwości co do jednego i drugiego. Zresztą, w ogóle nic nie wiem. Jak to jest, mamó? Wszyscy w rodzinie są wysocy, dobrze zbudowani i stanowczy. - Załamał się jej głos i z oka spłynęła łza. - Nawet szwagrowie są tacy. A ja co? Krasnal! Metr pięćdziesiąt...

- Jesteś prawie tak wysoka jak ja - przerwała jej matka.
- Masz piękne złociste włosy, jak moje, zanim posiwiałam.

Czego chcesz od swojej figury? Przecież jest idealna. A co, według ciebie, znaczy stanowczy?

- Bo ja wiem... Chyba to, że wszyscy macie zdecydowane poglądy na wszystko. A ja? Nie wiem, czego chcę i co myślę. Jak wyglądam w porównaniu z Becky? Ona jest lekarzem, a ja mdleję na widok krwi. A w porównaniu z drugą siostrą? Mattie pojechała aż do Afryki, a ja boję się sama wybrać choćby do Bostonu. Faith skończyła prawo i wyszła za architekta. Ja w najzwyklejszych sytuacjach zapominam języka w gębie, a zbudować nic nie umiałam nawet z klocków. Jestem do niczego. Lubię dzieci, ale nie sprawdziłam się jako nauczycielka. Jako bibliotekarka wypadłam nie lepiej. Co ze mnie będzie?

- Jesteś jeszcze bardzo młoda, więc masz czas. Na pewno znajdziesz w życiu coś, co ci będzie odpowiadać.

- Skoro rzuciłam Alfreda...
- Znajdziesz innego.
- Prędzej pójdę do klasztoru.
- Głupstwa pleciesz. - Matka uśmiechnęła się nieco ironicznie. - Z takim charakterkiem nie przyjmą cię do żadnego klasztoru. - Nagle spoważniała. - Siądź tu koło mnie, bo słyszę, że ojciec przyjechał.
- Nie! Schowam się w jakimś najciemniejszym kącie.
- Siadaj! - powtórzyła matka tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Hope z ciężkim westchnieniem przycupnęła na brzegu krzesła. Do pokoju wszedł nieco przygarbiony, lecz wciąż wysoki, siwy starszy pan.

- Ale ciężki dzień - poskarżył się, całując żonę w czubek głowy.
- Artretyzm to nie przelewki! Dokucza mi dziś jak wszyscy diabli.

Pani Latimore popatrzyła na męża bez współczucia.

- Wszystkim coś dokucza... Na pewno czułbyś się lepiej, gdybyś w południe łyknął pastylki.

Pan Latimore podniósł obie ręce do góry.

- Poddaję się, tylko błagam, nie powtarzaj: „A mówiłam”.
- Dobrze, że pamiętasz - spokojnie powiedziała jego żona - więc tylko ci mówię, że twoja córka ma kłopot.
- Moja córka? Bruce Latimore ze zdziwienia uniósł brwi. Od lat wiedziała że żona, sędzia stanowego Sądu Najwyższego, samowładnie rządzi żeńską połową rodziny. Do niego zwracała się o pomoc tylko wtedy, gdy chciała, by potwierdził decyzję, którą już podjęła. Jego zadanie polegało wyłącznie na tym, aby domyślić się, co należy powiedzieć.

- Dziecino - zwrócił się do córki - dlaczego masz kłopoty?

Hope wyprostowała się i przestała machać nogami, wiszącymi kilka centymetrów nad podłogą: Wszystkie krzesła w domu były dla niej za wysokie.

- Tylko jeden - odparła cicho. - Ja... bo... - zaczęła się jąkać. - Zerwałam z Alfredem - wyrzuciła jednym tchem.

- Alfred? Alfred? Czy to ten bubek, który naprzykrzał się nam od kilku miesięcy? - spytał Bruce Latimore.

- Ten sam — odpowiedziała jego żona.

- Tato, ja...

- Jego ojciec też gra mi na nerwach-przerwał pan Latimore. - Nawet dobrze się składa, bo skoro zerwałaś, będziesz miała więcej czasu.

Hope zaniemówiła przestraszona, że za dużo powiedziała. Wprawdzie ojciec fizycznie się postarzał, ale umysł nadal miał bardzo bystry. Lepiej było uważać na to, co się powie, aby później nie mieć dodatkowych kłopotów. Nie bardzo rozumiała, dlaczego ojciec ucieszył się, że będzie dysponowała czasem.

- Owszem, trochę więcej - przyznała z ociąganiem.

- Doskonale, bo jest mi potrzebna pomoc.

Zdumiona Hope patrzyła na ojca, który rozsiadł się w fotelu i zaczął czytać „Boston Globe”. Matka zerknęła na córkę pytającym wzrokiem, po czym wzruszyła lekko ramionami i pochyliła się nad haftem.

- Tato, ty potrzebujesz pomocy?

Ojciec zawsze rządził domem oraz Latimore Incorporated, największą firmą budowlaną na Wschodnim Wybrzeżu. I bardzo rzadko zasięgał czyjejkolwiek rady lub prosił o pomoc. Hope jako dziecko długo była przekonana, że ojciec rządzi całym światem. Becky z niej drwiła i usiłowała wyprowadzić z błędu, lecz bez skutku. Tymczasem teraz...

- Tak, kochanie. - Ojciec odłożył gazetę. - Lubisz dzieci, prawda?

- Owszem. Szczególnie maluchy.

- Więc sprawa załatwiona. - Bruce Latimore spokojnie wrócił do czytania.

- Co... - zająknęła się Hope - co jest załatwione?

- Jak to, co? Przecież już mówiłem.

- Nie, mój drogi, nic nie powiedziałeś.

Hope usłyszała w głosie matki nutę rozbawienia. Często miała niejasne wrażenie, że matka subtelnie kpi i z ojca, i z niej. Nie była to złośliwość, lecz dobroduszna ironia.

- Bruce, wyjaśnij nam, o co chodzi.

- Hmm. - Ojciec wyciągnął z kieszeni fajkę i włożył do ust, mimo że była pusta. Kiedy urodziło się pierwsze dziecko, żona wyperswadowała mu palenie. - No więc, ten młody człowiek...

- Nasz pracownik? Wysoki i barczysty?

- Ani, wysoki, ani barczysty i wcale nie pracuje w naszej firmie.

Ma jakiś metr siedemdziesiąt pięć, może osiem.

Hope odetchnęła z ulgą.

- Na pewno nie jest u nas zatrudniony?

Ojciec roześmiał się i mrugnął porozumiewawczo.

- Masz jakieś zastrzeżenia wobec naszego personelu?

- Jedynie to - odparła Hope poważnym tonem-że niektórzy wszystko, co usłyszą, zanoszą na sam szczyt Latimore Incorporated.

- Pijesz do Alfreda?

- To tylko jedna z jego wielu wad.

- A druga, że za wysoki, tak?

- Zgadłeś - przyznała niechętnie.

- No, to człowiek o którym mówię, na pewno ci się spodoba - orzekł ojciec, śmiejąc się pod nosem.- Talent komputerowy jakich mało. Akurat takiego potrzebujemy, ale, niestety, nie możemy go zatrudnić. Podpisujemy więc umowy na rozwiązanie tylko jednego zadania. Bestia ceni się i każe sobie słono płacić. - Na pewno znalazłaby się jakaś kobieta umiejąca tyle samo - mruknęła Hope obrażonym tonem. - Czy wszystko, co najlepsze, musi dostawać się mężczyznom?

- Oczywiście, że nie, ale tego specjalistę już znamy i twój ukochany brat ma do niego pełne zaufanie.

- Więc o co chodzi?- spytała-Hope, nerwowym ruchem splatając ręce.

- On też ma kłopot, i ta dość szczególny. Jego siostra i szwagier pół roku, temu ulegli, poważnemu wypadkowi i jeszcze nie wrócili do pełni sił. Najlepiej, gdyby gdzieś wyjechali, ale nie mają z kim zostawić dzieci, chłopca i dziewczynki.

- Więc...

- Nam jest potrzebny umysł tego młodego człowieka, a on twierdzi, że nie może pracować, bo ma na głowie dzieci. Krótko mówiąc, postawił warunek, że zajmie się naszą sprawą, jeżeli znajdziemy godną zaufania...

- ...opiekunkę do dzieci - podpowiedziała Hope.

- Nie opiekunkę, lecz gospodynię - uściślił ojciec. - Na jakieś dwa-trzy miesiące. Dwoje dzieci, maluchy, o ile dobrze zrozumiałem. Mieszkają kilometr od Taunton.

- Mogłabym przywieźć je tutaj.

- Wykluczone. On twierdzi, że dzieci już się przyzwyczyły do jego domu i nie chce, żeby znowu zmieniały miejsce pobytu. No, i co ty na to?

Po chwili zastanowienia Hope doszła do wniosku, że zajmowanie się dwójką dzieci jest chyba łatwiejsze niż uczenie w szkole. Ich wuj zapewne pracuje w Bostonie i całymi dniami będzie poza domem. Gdyby dojeżdżała.

- Gospośia musi mieszkać na miejscu - przerwał jej rozmyślenia ojciec.

- Kochanie, pamiętaj, że wcale nie musisz pracować - wtrąciła matka. - Za swoje udziały w Latimore Incorporated mogłabyś...

- ...wykupić pół stanu i jeszcze by trochę zostało - dokończyła ponurym głosem Hope. - Mamo, nie mogę siedzieć bezczynnie, bo zwariuję.

- Praca jest od jutra - mruknął pan Latimore znad gazety.

- Hola, hola! Ewentualnie pojutrze - oświadczyła bezapelacyjnie jego żona. - Tu chodzi o moje dziecko, więc najpierw ja pojedę rozmówić się z tym „pracodawcą”.

- Nie jestem dzieckiem - obruszyła się Hope. - Michael jest dwa lata młodszy ode mnie, a wcale go nie pilnujesz.

Pani Latimore pokręciła głową.



- Twój brat już dawno przerósł ojca, a od dwóch lat naszą firmą. Ty wciąż jesteś dla mnie dzieckiem.

- Oczywiście, mamó - pokornie przyznała córka.

W niedzielę było słonecznie, lecz wiał chłodny wiatr z pół nocy, zwiastujący spadek temperatury. Czarny jeep powoli, lecz nieuchronnie, zbliżał się do Taunton. Hope cichutko pogwizdywała, aby dodać sobie odwagi. Obok niej siedział wielki, stary owczarek. Rex towarzyszył jej, ponieważ pani Latimore zdecydowała, że córka może podjąć pracę pod warunkiem, że zabierze psa. Hope nie ośmieliła się sprzeciwić, chociaż wiedziała, że ociężały, wiekowy owczarek nie nadaje się na obrońcę. Jednak towarzystwo psa dodawało jej pewności siebie.

Dom, do którego jechała, stał tak na uboczu, że z szosy prawie nie było go widać. Był stary, z licznymi przybudówkami. Hope przejechała pół kilometra polnej drogi i stanęła przed werandą, Rex nie chciał wyjść z samochodu.

- Stchórzyłeś? - rzuciła gniewnie. - To po co cię zabrałam?

Z ociąganiem weszła na schody i zadzwoniła. Usłyszała nieprawdopodobny hałas, drzwi otworzyły się z hukiem i na progu stanęło dwoje dzieci, wcale nie tak małych, jak się spodziewała. Chłopiec był o głowę niższy od niej, a dziewczynka tyle samo niższa od niego.

- No? - odezwał się chłopiec, nieprzyjemnie wykrzywiając twarz.

- Jestem... - Hope zaschło w gardle. W podobnych sytuacjach zawsze czuła się bardzo skrepowana. - Jestem nową... mam prowadzić dom.

Dzieci milczały, wpatrując się w nią okrągłymi, czarnymi oczami.

- Ojciec wprowadził mnie w błąd - mruknęła Hope jakby do siebie i głośniej dodała: - Powiedział, że jesteście maluchami.

- Co? My maluchami? - Chłopiec obrzucił ją ironicznym spojrzeniem od stóp do głów.-Ja mam osiem lat, a Melody trzy. Kto jest maluchem?

- Doprawdy... - zaczęła Hope i urwała.

Wystraszyła się, że jeszcze chwila, a wycofa się jak niepyszna. Na szczęście Rex raczył wreszcie wyjść z samochodu i stanął między nią a dziećmi. Na powitanie pokazał się z najgroźniejszej strony: warknął, wyszczerzył kły, wysunął ozór i zaczął sapać. Chłopiec stracił odwagę, cofnął się i pociągnął za sobą siostrę.

- To pani pies? - spytał drżącym głosem.

- Mój. Dlaczego nie poprosicie mnie do środka? -No, bo...

Dzieci cofnęły się kilka kroków, więc weszła do holu.

- Siostra ma na imię Melody, tak? Bardzo ładnie. A ty?

- On jest Eddie - cienkim głosem odpowiedziała dziewczynka.

- Edward, ale wujek Ralph mówi...

- O, właśnie - przerwała Hope. - Wujek Ralph. Czy pojechał do pracy do Bostonu?

- Nie - odparła Melody. - Jest na górze. Wujek pracuje na poddaszu.

- Jak to, pracuje na poddaszu?

- Normalnie - powiedział Eddie. - Zawsze tam pracuje,

- To kolejna... - zaczęła Hope.,

Nie rozumiała, dlaczego ojciec, zwykle prawdomówny i rzeczowy, popełnił aż dwa błędy. I dlaczego matka nie wspomniała ani słowem o tym, że opiekun dzieci pracuje w domu, ale kazała zabrać psa. Rex leżał na wycieracze i już spał w najlepsze. Taki miał być jej stróż? Poczowała zimny dreszcz przebiegający jej po krzyżu. Uważnie przyjrzała się dzieciom.

Dziewczynka miała rude włosy, rezolutną buzię i chochliki w oczach. Była boso, w przyciasnej, kraciastej spódnicy na szelkach i białej bluzce nie pierwszej świeżości. Chłopiec był dobrze zbudowany i wysoki jak na swój wiek, ubrany w granatową koszulkę i spłowiełe, niebieskie spodnie, połatanne na kolanach. On też był bez butów. Włosy miał nieco ciemniejsze niż siostra. Oboje mieli ciemne, prawie czarne oczy, których nie odrywali od przybyłej.

- Muszę porozmawiać z waszym wujkiem - oświadczyła Hope stanowczym tonem, mimo iż wcale nie była pewna, czy rzeczywiście chce się z nim zobaczyć.

Najchętniej wróciłyby do Eastport. Nie miała jednak wątpliwości, że wszyscy, a szczególnie ojciec i Michael, bez żenady powiedzą, co myślą o jej postępowaniu i będą jej dokuczali. Tego zaś

wolała uniknąć. Jej rozmyślania przerwało pytanie, zadane głębokim, męskim głosem:

- I któż to nas odwiedził?

- Hope\*...

- Bardzo potrzebna, bo bez niej nie da się żyć - powiedział mężczyzna stojący w półmroku korytarza.

- Co takiego?

- Każdy ma jakąś nadzieję.

Eddie parsknął tłumionym śmiechem, a Hope się zaczerwieniła.

Mężczyzna stanął w kręgu światła.

- To ty?! - krzyknęła zaskoczona.

- Ja. Myślałaś, że już nigdy się nie spotkamy? Minęło wiele lat, odkąd się widzieliśmy. Pamiętam ten szkolny...

- Nic nie chcę pamiętać - syknęła. - A już szczególnie ciebie, Ralphie Browne. Po tym, jak.

- Przyznaję, że nie bardzo popisałem się na tamtym balu. Ale myślę, że oboje wydorosłeliśmy. Chociaż ty... niewiele urosłaś... i nadal jesteś małą istotką...

Hope zawsze wpadała w furję, gdy ktoś tak ją określał. To był jej czuły punkt.

- Nie nazywaj mnie małą istotką! Wprawdzie jestem niskiego wzrostu, ale wcale nie mała czy drobna. I nie cierpię, gdy...

- ...ktoś mówi, że taka jesteś - dokończył Ralph. - No, to nigdy więcej nie będzie o tym mowy. Smyki, słyszałyście?

Hope (j. ang.) - nadzieja (przyp. red.).

Dzieci w milczeniu skinęły głowami.

- Niski wzrost - uparcie ciągnęła Hope nie wyklucza ani inteligencji, ani zdolności czy zasad moralnych:

Mogłabyś sobie darować przynajmniej te zasady moralne. Panno Hope. Latimore, sądzę, że jest pani bardzo bystrą osobą, ale czy zdoła pani wziąć w karby tych dwoje dzikusów?

- Nic prostszego - odparła bez wahania.

W tej chwili nie myślała o porażce, którą poniosła jako nauczycielka. Dyrektor szkoły wystawił jej taką opinię:

"Merytorycznie doskonale wykwalifikowana, ale nie potrafi utrzymać dyscypliny".

- Bardzo się cieszę. Melody, pokaż pani, gdzie jest jej pokój, a ty, Eddie, pomóż zanieść bagaż na górę .. O, co ja tu jeszcze widzę?

Rex wstał, przeciągnął się i stanął u boku swej pani.

- Moja mama uznała, że nic mogę tu nocować bez przyzwoitki.

Czy ta drobna... niewysoka dama, która wczoraj złożyła mi wizytę, to twoja matka?

- We własnej osobie. Może lepiej od razu uprzedzę, że jest sędzią stanowego Sądu Najwyższego.

- Ho, ho! Muszę być ostrożny. - Ralph pomarkotniał. - Masz kochającą rodzicielkę, która z miłości krótko córunię trzyma, co?

Pewnie każe ci wracać do domu przed jedenastą? - Po namyśle dodał: - Sąd Najwyższy! Kto by się spodziewał?

- A mój brat - dodała Hope tonem wyższości - jest olbrzymem i ma bardzo staroświeckie poglądy na temat kobiet w ogóle, a siostr w szczególności.

- Ratunku! Dużo was?

- Wystarczy. Wszyscy są wyżsi ode mnie i, oprócz Michaela, już po ślubie.

Ralph przybrał poważny wyraz twarzy.

- Nie chcę nic więcej wiedzieć - mruknął, odwracając się. -  
Wracam do pracy.

Hope obserwowała go spod oka. Miło jej było, że jest smukły i znacznie niższy niż jej brat i szwagrowie. Pasował do niej bardziej niż oni. Był proporcjonalnie zbudowany, miał szerokie ramiona i wąskie biodra. Ucieszyła się, że jednak natura nie zawsze nadmiernie szafuje zasobami.

Ralph przystanął na półpiętrze, aby poinformować jakby od niechcienia:

- Lunch mamy o dwunastej. W kuchni wisi komputerowy rozkład zajęć. Uważaj na Eddiego.

Nie zdążyła zapytać, dlaczego ma szczególnie uważać na chłopca. Spojrzała na zegarek - do lunchu pozostały trzy godziny. Dosyć, gdy wiadomo, co przygotować, lecz ona jeszcze nic nie wiedziała o gospodarstwie, które miała prowadzić.

- Idziemy - odezwał się Eddie, biorąc większą torbę. Hope jeszcze raz przyjrzała się dzieciom. Eddie był wysoki, silny i bardzo prozaiczny. Melody była jego przeciwieństwem. Podeszła do Hope i

ufnie wsunęła dłoń w jej rękę, czym od razu ujęła ją, ale niestety, natychmiast zepsuła efekt słowami:

- Nawet moja mama jest większa. - I po krótkim namyśle dodała:
- Ale pani jest większa u góry.

Hope zachwiała się i o mały włos byłąby spadła ze schodów. A przecież od dawna wiedziała, że ma duży biust. Nie zapomniała niewybrednych uwag uczniów, wygłaszanych za jej plecami. I pamiętała niewczesne gesty, Alfreda, których go oduczyla, dopiero gdy skorzystała z umiejętności nabytych na lekcjach judo.

- Musi mi pani powiedzieć... - zaczęła Melody.
- Co chcesz wiedzieć? - zainteresował się jej brat.
- Wszystko...
- Na pewno mamusia kiedyś ci powie ucięła Hope, która wprawdzie skończyła dwadzieścia cztery lata, lecz nadal pewne tematy bardzo ją krępowały. - Moja mama wyjaśniła mi, gdy miałam trzynaście lat.

- Co wyjaśniła?- zapytał, Eddie.
  - Nie wtrącaj się-fuknęła siostra.-
  - To pani pokój - rzekł Eddie, kładąc rękę na klamce.
  - Nieprawda - zaprzeczyła Melody. - Tamten z łazienką.
- Chłopiec wzruszył ramionami i posłusznie poszedł dalej.

Hope ucieszyła się, że będzie miała łazienkę dla siebie. Rozejrzała się po korytarzu. Był długi, wąski z jednym zakurczonym okienkiem na samym końcu. Podłogę pokrywała gruba warstwa kurzu. Na pierwszy rzut oka dało się zauważyć, że w domu rządy

sprawuje mężczyzna. Zarumieniła się zawstydzona, że myśli tak stereotypowo.

Eddie wszedł do pokoju wskazanego przez siostrę i rozejrzył się z niedowierzaniem. - Jesteś pewna, że tutaj?

Melody skinęła głową, więc postawił torbę koło drzwi.

- Wracamy - zarządził.

Dzieci wyszły na korytarz, a owczarek ruszył za nimi.

- Rex! - ostro krzyknęła Hope. - Wracaj, psie niewierny! Rex zignorował naganę i ułożył się na chodniku przed łóżkiem. Hope pędkiem wypakowała torby. Przywiozła jedynie dwa stroje robocze, trochę bielizny i kosmetyczkę. Postanowiła odświeżyć się pod prysznicem, więc zdjęła sweter, rozpięła bluzkę i zaczęła ściągać prawy rękaw. W tym momencie usłyszała dźwięk, który wyprowadził ją z równowagi. Rozległ się huk i coś ciężkiego potoczyło się po korytarzu. Melody zaczęła histerycznie krzyczeć, a Eddie wzywać pomocy. Rex zerwał się ze skowyt, gdy rozległ się powtórny huk. Hope skoczyła do drzwi i szarpnęła klamkę, a wtedy bluzka zsunęła się jej z ramion. W progu stały dzieci, grzecznie trzymając się za ręce.

- Wypadek - oznajmiła Melody.

- To jej sprawka - sprostował Eddie.

W kącie korytarza leżała wielka, skórzana piłka.

- Skaranie z wami - zdenerwowała się Hope.

- Uprzedziłem, że trzeba go pilnować! - Ralph zbiegł z drugiego piętra. - Mówiłem.



- Mówiłem, mówiłem - przedrzeźniała go Hope. - Czemu miałby to robić?

- Ja nic nie zrobiłem - bronił się Eddie. Melody przysunęła się do Hope i objęła ją za udo.

- Ja też nie - szepnęła.

- Oczywiście, kotku - uspokoiła ją Hope. Kobieta i dziewczynka utworzyły jeden front.

- Hm, co to ja... - Ralph chrząknął zakłopotany. - Mam za dużo pracy, żeby tu beczynnie stać. - Pochylił się i szepnął Hope na ucho, aby dzieci nie słyszały: - Panno Latimore, byłbym zobowiązany, gdyby pani nie gorszyła maluczkich.

- Jak śmiesz! - syknęła i spojrzała na siebie. - O!

Była w staniku, halce i spódnicy. Zaczzerwieniła się po korzonki włosów i wściekłym wzrokiem spojrzała na Ralpha.

- Tak, tak - mruknął, uśmiechając się kątem ust. – Osobiście nie zgłaszam żadnych zastrzeżeń, ale chodzi mi wyłącznie o niewinną działość.

- Przestań! - krzyknęła. - Ja nie... nigdy... tak się złożyło. Dzieci wybuchnęły śmiechem.

- Mówiłam, nie? - powiedziała Melody. - Duża.

Hope spojrzała na nie takim wzrokiem, że natychmiast przestały się śmiać. Weszła do pokoju, trzasnęła drzwiami i zacisnęła pięści z bezsilnej złości.

- Zaraz stąd wyjeżdżam. Natychmiast! - mruczała pod nosem. - Nie muszę znosić takich... - Uderzyła pięścią w ścianę. - Powinnam

jemu tak przyłożyć! Szkoda, że go nie obiałam na balu dziesięć lat temu.

Stała jej przed oczami scena z balu i chłopiec, który ją tak ośmieszył, że chciała zapaść się pod ziemię. Rozdarł jej suknię na plecach, a ona wtedy nie miała ani stanika, ani halki. Wybuchnął śmiechem, więc uderzyła go pięścią i podbiła mu oko. Potem Ralph zdołał, przekonać dyrektorę, że to był przypadek. Jego uniewinniono, a jej zabroniono przez tydzień przychodzić do szkoły.

Zdenerwowana wspomnieniami poszła się wykąpać. Po kwadransie energicznego mycia wróciła do jakiejś takiej równowagi. Otuliła się ręcznikiem i wyszła z łazienki. W progu stała jak wryta, ponieważ na łóżku siedział półnagi mężczyzna. Ralph!

- Jak śmiesz! - wrzasnęła na całe gardło.

- No, no, niezły widok. - Ralph obejrzał ją od stóp do głów okiem znawcy. - Bardzo apetycznie wyglądasz, nie ma co. Ale szkoda zachodu.

Hope nie mogła ani ruszyć się z miejsca, ani wydobyć z siebie głosu. Nigdy nie przyjmowała mężczyzny w swojej sypialni. I do tego rozebranego!

- Wyjdź z mojego pokoju - wykrztusiła wreszcie.

Ralph patrzył na nią rozbawiony.

- Ktoś tu się pomylił - rzekł, starając się stłumić śmiech.

- Tak się dziwnie składa, że to jest moja sypialnia. I coś ci poradzę: jeśli chcesz zakryć to i owo przed moim wzrokiem, podciągnij ręcznik trochę wyżej.

Hope, purpurowa z wściekłości, podciągnęła ręcznik.

- Teraz za wysoko.

- Wynoś się stąd!

- Pozwól sobie wytłumaczyć, że jesteś w cudzym pokoju.

- Twój siostrzeniec...

- Aha, rozumiem.

Ralph rozejrzał się po pokoju, a Hope szczelniej otuliła ciało ręcznikiem.

- Później to wyjaśnimy. Teraz muszę znaleźć spodnie. Zawróciła do łazienki i trzasnęła drzwiami.

- Czy mam rozumieć, że wyszłaś, bo cię nie pociągam? - zawołał rozbawiony. - A może chcesz rzucić tak ciekawie zapowiadającą się pracę, co? Uprzedzam, że nie zwolnię cię przed lunchem.

- Idź do diabła! - krzyknęła, waląc pięściami w drzwi.

- Tak daleko nie pójde! Zresztą bez spodni nie wypada. O, znalazłem! - Podeszedł do drzwi łazienki i rzekł półgłosem: -Nie mogłem wyjść na korytarz, bo Melody tam siedzi z lalkami. Chyba rozumiesz, że musiałem się ubrać. Do zobaczenia.

Hope przysiadła na brzegu wanny, powtarzając z uporem, że w takim domu nikt rozsądny nie wytrzyma, że powinna natychmiast odjechać, jeszcze przed lunchem. Po paru minutach ostrożnie uchyliła drzwi. Pokój był pusty.

- No, zacisnę zęby i zostanę pół dnia - powiedziała na głos.

- Ale jeśli Ralph znowu z czymś wyskoczy, tak go obiję, że popamięta do śmierci.

Nagle wydało się jej, że słyszy matkę, która mówi:

„Moje dziecko, naucz się panować nad sobą. Ale jeśli ci trudno, nie przejmuj się i zostaw tę pracę. Wprawdzie ciągle rzucasz posady, ale to jeszcze nie największa tragedia. Lepiej odejść, zanim pobijesz niewinnego człowieka. Pamiętaj, że jest wyższy i silniejszy! Zbieraj manele i wracaj. Ojciec pewnie nie będzie zachwycony, ale on nigdy nie rozumiał kobiet. No, co postanawiasz?”

Hope Anne Latimore zaczerwieniła się ze wstydu.

- Cholera! Psiakrew! Cholera! Psiakrew! - krzyczała, pięściami okładając poduszki. - Nie poddam się, nie wycofam! Nie przyznam się do porażki! Nikt nie będzie natrząsał się ze mnie! Hope Latimore, czy słyszysz wyrok? Trzy miesiące bez zawieszenia!

Otarła oczy, trochę się uspokoiła i ubrała do pracy - bluzka, spodnie, tenisówki. Poczesła się, chociaż wiedziała, że to niewiele pomoże. Niesforne loki i tak zawsze układały się po swojemu. Na korytarzu wisiało duże lustro. Przechodząc, zerknęła i ze złości aż zazgrzytała zębami. Pełne kształty zbyt wyraźnie rysowały się pod opiętą bluzką.

Gniewnie mruczając pod nosem, zawróciła do pokoju. Włożyła obszerny, gruby sweter z angory, który idealnie ukrył figurę przed wścibskim wzrokiem niepowołanych osób.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Zapiekanka zdążyła się przyrumienić, gdy wszędzie rozdzwoniły się dzwonki. Hope rozejrzała się przerażona, zanim przypomniała sobie, że cały dom jest podłączony do komputera. To dlatego gong na lunch zabrzmiał jak alarm przeciwpożarowy. Podeszła do małego komputera przytwierdzonego do ściany, obok którego wisiał rozkład dnia. Jednak i bez sprawdzania domyśliła się, że jest pora posiłku, ponieważ na schodach rozległ się tupot i do kuchni wpadła Melody, a tuż za nią Eddie.

- Wygrałam, Wygrałam! - krzyczała dziewczynka, podskakując z radości.

- Nieuczciwie - oskarżył ją brat - bo...

- Kłamiesz! - zaprzeczyła, pokazując język. Wszedł wuj Ralph z marsem na czole.

- Zbiórka i inspekcja - zarządził niby sierżant komenderujący rekrutami.

Dzieci posłusznie stanęły przed nim, wyprężone na baczność.

- Ręce!

Eddie pokazał spód dłoni, Melody wierzch.

- Ujdą - zawyrokował Ralph po obejrzeniu rąk siostrzeńca. - Ale następnym razem nie oszczędzaj tak mydła. - Podeszedł do Melody. - Jak z drugiej strony?

Dziewczynka niechętnie odwróciła pobrudzone farbami ręce.

- W prawo zwrot! Do łazienki marsz!

W oczach Melody pokazały się łzy, ale prędko otarła je piąstką i wybiegła do umywalni koło kuchni. Eddie uśmiechnął się ze złośliwą satysfakcją i usiadł na swoim miejscu.

- Zapomniałeś, że najpierw siadają damy?

- Ojej, wszystko one - mruknął niezadowolony chłopiec, ale posłusznie wstał. - Nic nie robię jak trza.

- Jak trzeba - poprawił go wuj.

- Niech będzie trzeba. Nie mogę usiąść pierwszy, bo dama. Nie mogę wygrać wyścigu, bo dziewczynka. Zawsze musi być pierwsza. To niesprawiedliwość!

Wuj poważnie skinął głową.

- Zgadzam się z tobą, ale co robić? Samo życie nie jest zbyt sprawiedliwe.

Melody wróciła pochlapana, ale ręce miała czyste. Wuj eleganckim gestem podsunął jej krzesło.

- No, siadamy do pierwszego smakowitego lunchu, przygotowanego przez naszą nową gosposię.

- Uwaga, bo gorące - ostrzegła Hope.

Postawiła rondel na środku stołu. Spodziewała się okrzyków zachwytu, a tymczasem zapadło kłopotliwe milczenie. Trzy pary oczu wpatrywały się w nią z dziwnym napięciem.

Melody pierwsza odważyła się zajrzeć do rondla.

- Co to? - spytała niepewnym głosem.

- Zapiekanka według przepisu prosto z Paryża - wyjaśniła Hope.

- Na pewno będzie wam smakować.

- A te zielone kulki? - zapytał Eddie, któremu nie zaimponował Paryż.

- Brokuły. Wszystkie dzieci to lubią.

- Ale nie ja.

- Ja też nie - dorzuciła Melody.

Hope spojrzała na Ralpha, który siedział z pochyloną głową.

Widziała, że drgają mu kąciki ust, więc widocznie się śmiał. Nie miała pretensji do dzieci, które zawsze sceptycznie traktują nieznane potrawy, ale ich wuj ją rozzłościł. Miała taką ochotę uderzyć go czymś ciężkim, że aż drgnęła jej ręka. Ralph to zauważył i czym prędzej powiedział:

- Ja nic nie mówiłem. Zresztą bardzo lubię zapiekanki, chociaż niekoniecznie z brokułami.

- Prezydent Bush mówił, że dzieci nie muszą jeść brokułów - przypomniał sobie Eddie.

- I dlatego nie jest już prezydentem - odparowała Hope.

- Czym normalnie się żywiecie? Co jecie na lunch? Pewnie jakieś byle co z puszki albo torebki.

- Jemy chleb z masłem orzechowym - odpowiedziała Melody. - Chyba że mamusia coś ugotuje.

- Mama robi pyszne kanapki. - Eddie stanął w obronie matki.

- Z szynką, salami, galaretką... same dobre rzeczy.

- I czasami pizzę - dodał Ralph. - Moja siostra świetnie gotuje.

- Ja też - wyrwało się Hope.

Zaczęła rozważać dwie ewentualności - albo musi natychmiast wracać do domu, albo przygotować kanapki. Przypomniała sobie, że podczas przeglądania kuchni widziała masło orzechowe w lodówce, chleb w metalowym pojemniku na parapecie, a galaretkę na trzeciej półce w szafce koło okna.

Hałaśliwie odsunęła krzesło, podeszła do szafki i wyciągnęła rękę. Nie mogła dosięgnąć półki, na której stała galaretka. Wspięła się na palce, lecz i to nie pomogło. Była stanowczo za niska.

- Cholera by to wzięła! - zaklęła pod nosem.

- Drabinka jest z drugiej strony lodówki - podpowiedział Ralph, nie ruszając się z miejsca.

- Skarbonka na karę za brzydkie słowa też - zawołała Melody.

- Dziesięć centów za każde brzydkie słowo - podał ceną informację Eddie.

Hope obrzuciła ich wściekłym spojrzeniem.

- Bez uprzedzenia się nie liczy! - krzyknęła. - Wojna wybuchła z powodu samowolnie narzuconych podatków.

- Czy to znaczy, że pani nie ma pieniędzy? - zmartwił się Eddie.

- Jestem biedna jak mysz kościelna.

- Można pisać na kartce i wrzucać ją do skarbonki - poradziła Melody. - Wujek zawsze ma długi, a potem dużo płaci.

Hope bezgłośnie poruszyła ustami.

- Czy mówisz do siebie? - zainteresował się Ralph. - Ruszasz ustami, jakbyś...



- Nie twoja sprawa - warknęła. - Bardzo dużo ze sobą rozmawiam, bo nikt inny mnie nie rozumie.

Ralph powiedział coś, co zabrzmiało jak „wcale się nie dziwię”. Nie usłyszała wyraźnie, ponieważ akurat wstał, żeby podać jej masło orzechowe. Hope przygotowała cztery kanapki. Melody i Eddie poczuli się, jakby było święto.

Ralph uśmiechnął się i wziął dość duży kawałek zapiekanki.

- Nie musisz się poświęcać - rzuciła Hope, nakładając sobie znacznie większą porcję.

- Lubię wszelkie zapiekanki, a poświęcanie się nie leży w moim charakterze.

Hope przyjrzała mu się spod opuszczonych powiek.

Mężczyznę, którego najlepiej znała był jej brat, Michael. Dość długo musiała się opiekować nim i dzięki temu zaobserwowała wiele typowo męskich cech. Michael był olbrzymem, a wuj Ralph jedynie jego miniaturą... Wuj Ralph?

- Nie wiem, jak mam się do ciebie zwracać - powiedziała z pełnymi ustami.

- Przecież to wujek Ralph - poinformowała Melody, patrząc na nią zdumionym wzrokiem.

- Browne - dodał wujek. - Ralph N. Browne, pisane przez e na końcu.

Hope doskonale pamiętała jego nazwisko. Trudno zapomnieć cokolwiek o człowieku, który nas ośmiesza i za którego otrzymujemy surową karę. Pamiętała również, że znienawidziła go z całej duszy i że

Michael chciał się z nim bić, ale matka nie pozwoliła. Teraz zaś miała w perspektywie kilka miesięcy pod jednym dachem z Ralphem N. Browne'em. W Eastport były trzy rodziny o tym nazwisku. Jedni Browne'owie prowadzili aptekę, drudzy gospodarstwo rolne, a trzeci podobno jakieś podejrzane interesy. Zastanawiała się, do której z nich Ralph może należeć.

- Nie znasz nikogo, z mojej rodziny - powiedział Ralph, jakby odczytał jej myśli. - Dzieci, skończyłyście?

- Ja tak - odparł Eddie, oblizując usta.

- Umyj buzię - zarządził wuj.

- Ja też mogę iść? - spytała Melody.

- Tak. I też musisz się umyć. Dzieci wybiegły z kuchni.

- Czas na mnie - rzekł Ralph, wstając.

- Umyj buzię - mruknęła Hope.

- Co?

- Ja... no... mówiłam, że trzeba ... - zająknęła się. Ralph pokręcił głową z powątpiewaniem i rzucił serwetkę na stół.

- Mnie lunch smakował. Możesz jeszcze kiedyś przygotować to samo.

Wyszedł tak prędko, że nie zdążyła zapytać, czy nie skłamał z grzeczności. Razem z odgłosem zamykanych drzwi usłyszała minutnik oraz podejrzany szum w zmywarce.

- Ki diabeł?

Zerwała się z miejsca i drżącymi rękoma wstawiła naczynia do zmywarki. Na szczęście nic nie zbiła w pośpiechu. Zamknęła maszynę, podeszła do komputera i pogroziła mu palcem.

- Ty przekłety szpiegu! - szepnęła jadowitym tonem. Przeczytała listę zadań na popołudnie. Za piętnaście minut należało zabrać się do odkurzania parteru.

- Nie ujdzie mu to na sucho - powiedziała głośniej. - Dostanie mu się, choćby mama... nie, ona mi nic nie powie. Zawsze jest po mojej stronie, bo bardzo mnie kocha.

Gniewne ujadanie za drzwiami przypomniało jej, że ma jeszcze jeden obowiązek. Znowu pogroziła komputerowi palcem i zajęła się wiernym, wygłodzonym psem.

O trzeciej elektroluks jeszcze warczał w najlepsze, gdy rozdzwonił się minutnik. Hope pobiegła sprawdzić, co jest na liście.

- Godzina spóźnienia? - zdziwiła się. -I co teraz? Komputer, jak to komputer, nic nie odpowiedział, więc powtórnie odczytała listę zadań.

- O, przerwa! - krzyknęła uradowana. - Nareszcie! Pobiegła na górę i rzuciła się na łóżko. Momentalnie zerwała się jak oparzona, aby sprawdzić, czy jest w swoim pokoju i czy zamknęła drzwi.

- Dwa razy nie dam się na to samo nabrać - oświadczyła czterem ścianom.

- Brawo!

W uchylonych drzwiach zobaczyła Ralphi N. Browne'a.

- Co znaczy to „N” przed nazwiskiem? - zapytała, byle tylko coś powiedzieć.

- „N” oznacza „Nic”, - Oparł dłonie o futrynę nad głową Hope, która poczuła się, jakby została uwięziona. - Panno Latimore, jest pani bardzo piękną kobietą.

- Chyba ci się przywidziało. Moja siostra Mattie jest piękna.

- Przemawia przez ciebie zazdrość?

- Nie gadaj od rzeczy. - Hope zarumieniła się i nie wiadomo dlaczego zaniepokoiła. Nie jestem zazdrosna. Jak można zazdrościć własnej siostrze? Przyrodniej, bo przyrodniej, ale zawsze siostrze. Pojechała do Afryki, dokąd wezwano ją jako eksperta od kolejnictwa. Jest wyższa ode mnie.

- O to nietrudno - rzekł Ralph ze śmiechem. - Nawet Eddie prawie dorównuje ci wzrostem. Ale założę się, że nikt mnie nie pocałuje tak słodko jak ty.

Pochylił głowę tak nisko, że nosem dotknął jej policzka.

Hope spostrzegła, że ma zielone oczy. Miała ochotę zapytać, dlaczego uważa, że ona go w ogóle pocałuje. Nie pamiętała, kiedy ostatnio całowała się z mężczyzną. Zresztą, jeśli pominąć dzieci Becky, od dawna nikogo nie całowała. Ralph przysunął się niebezpiecznie blisko, więc zawołała:

- Rex!

Pies otworzył jedno oko, pomerdał ogonem i przewrócił się na drugi bok.

- A niech cię licho! - zdenerwowała się jego właścicielka.

- Jesteś jedyną moją znajomą, która przeklina z takim upodobaniem.

- Nie dotykaj mnie - poprosiła cicho.

- Za późno. - Ralph pocałował ją w czubek nosa. - Za późno.

- Nie cierpię tego.

- Nic dziwnego.

Ujął jej twarz w dłonie i delikatnie pocałował ją w usta. Ciało Hope przeszył przyjemny dreszcz. Czuła się zupełnie bezradna i bezbronna wobec wysokiego mężczyzny, którego ramiona...

Uświadomiła sobie, że Ralph wcale jej nie trzyma. Mogłaby swobodnie odejść, gdyby tylko chciała. Lecz jego usta były niby magnes, od którego nie miała siły się oderwać. Poddała się przyjemnemu, obezwładniającemu uczuciu i zarzuciła Ralphowi rękę na szyję. Zdażyła jeszcze pomyśleć, że nie powinna tego robić i... pocałowała go.

Ralph na ułamek sekundy odchylił głowę, po czym namiętnie oddał pocałunek. Hope mocno się do niego przytuliła. Trzymała się go kurczowo, jak alpinistka, która ma wrażenie, że leci w przepaść. Do rzeczywistości przywołał ich nieubłagany minutnik.

Ralph wyprostował się i odsunął.

- To nie tylko moja wina - szepnęła Hope na swoją obronę.

- Przyznaję. Och, dawno nikt mnie tak nie całował. Od czasu...

- Nie przechwalaj się!

- Przecież nie chwalę siebie. To było fantastyczne. Zawsze tak się zachowujesz?

- Prawdziwy dżentelmen nie rozmawia o czymś takim.  
- Nie „o czymś takim”, tylko o pożądanu. Będzie repeta?  
- To nie posiłek, żeby była repeta. Nic nie będzie! - zawołała oburzona. - Słyszałam, że coś takiego nazywa się miłością, a nie pożądanem.

Ralph uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Zakochałaś się we mnie?  
- Też coś! Nie pierwszy raz się całowałam. I jeśli chcesz wiedzieć, bywało lepiej.

Przesunęła dłoń po ustach, jakby chciała zetrzeć z nich wszystkie pocałunki. Nie udało się.

- Bywało lepiej? Wyznaj mi całą prawdę.  
- Nie chcę wprawiać cię, w zakłopotanie: Mam litość nad tobą.  
- Trudno. - Wzruszył ramionami, - Wszystkiego mieć nie można.  
- Usłyszał dzwonięcie minutnika. - Tu wszystko idzie jak w zegarku, prawda, kochanie?

- Całusy też zaplanowałeś?

Ralph nie odpowiedział. Pocałował ją w czubek nosa i wyszedł. Rex otworzył jedno oko, które zaraz zamknął, więc Hope pogroziła mu palcem.

- Cholera, jesteś stróżem do kitu -zakłęła. -,Gdzie, byłeś, kiedy cię potrzebowałam? - Pies nawet nie raczył pomerdać ogonem. Hope wyrzała, na korytarz i krzyknęła za Ralphem: - Panie Browne, nic tu nie idzie jak w zegarku. Na liście nie ma punktu: „Cmoknąć gosposię”!

Wszyscy znaleźli się w kuchni, punktualnie o szóstej. Rex usiłował schować się w kącie koło. zmywarki, lecz nie mógł się tam wcisnąć.

- Psom do kuchni wstęp wzbroniony - oświadczył Ralph apodyktycznie.

- Tak? - Hope pogłaskała kosmaty łeb owczarka. - Nie ma psa, nie ma kucharki. A jak nie ma kucharki, to nie ma kolacji.

Skończyłam. - Zadarła perkaty nos i rzuciła Ralphowi wojownicze spojrzenie.

- A co byśmy dostali, gdyby kucharka była? - nieśmiało zapytał Eddie.

- Pizzę - odparła gospoia, dumnie wypinając pierś, - I to domowej roboty.

Dzieci błagalnym wzrokiem spojrzwały na wujka i nie bardzo się przestraszyły jego groźnej miny.

- Taki kochany pies - cichutko powiedziała Melody. Wuj milczał, więc głośniejszą dodała: - Wygląda jak, król...

- Ma rodowód na kilometr - wtrącił Eddie.

- Naprawdę? - spytał Ralph, patrząc w przestrzeń ponad głowami całej trójki.

- Jego przodkowie przyплыnęli na „Mayflower” - skłamała Hope bez zająknięcia.

Założyła rękawice i otworzyła piekarnik. Kuchnię wypełnił bukiet smakowitych zapachów.

- Ser? - zaczęła zgadywać Melody.

- I co jeszcze? - zastanawiał się Eddie.

- Czarne oliwki, papryka, grzyby, cebula... - wyliczała gosposia.

- Przestańcie, bo już mi głowa pęka - zawołał Ralph. -I... i niech wam będzie. Ten kundel.

Dzieci zaczęły chichotać i trącać się łokciami, a Hope sapać zezłości.

- Dobrze, dobrze, owczarek - poprawił się Ralph. - Niniejszym Rex otrzymuje zezwolenie na przebywanie w kuchni.

Z trzech piersi dobyły się trzy westchnienia ulgi. Hope postawiła pizzę na stole.

- Kto zamawia dużą porcję?

- Ja!

- I ja.

- Ja też - mruknął Ralph. - Nie mogłabyś szybciej kroić?

- I trochę większe kawałki? - dorzucił Eddie.

Hope popatrzyła na swych stołowników. Podając talerze, pomyślała, że matka chyba byłaby z niej dumna, ponieważ pizza wyjątkowo się udała.

Ralph przełknął dwa kęsy i oznajmił:

- Matka powinna być z ciebie dumna.

- Jest, i to od wielu lat. A twoja z ciebie też może być dumna?

- Oczywiście, panno Latimore - odparł z pełnymi ustami - ale o tym porozmawiamy po kolacji, gdy dzieci będą już w łóżkach.

Hope odebrała to jako groźbę i po raz setny zadała sobie pytanie, czy powinna bawić się w gosposię. Osoba po studiach, z magisterką



i... przy garach! Lepiej natychmiast zrezygnować z pracy, która wieczorem kończy się słowami: „Trzeba położyć dzieci spać i pozmywać naczynia”.

- Jeśli już więcej nie możesz, dokończę za ciebie - zaofiarował się Eddie.

- Nie! - krzyknęła Melody. - Resztki są dla dziewczynek. Ja jestem dziewczynką.

- Wujku, czy ona zawsze musi wszystko dostać? Biedny Eddie nie otrzymał odpowiedzi.

Przed dziewięcią dziećmi leżały już w łózkach. Melody zażyczyła sobie kobiecej asysty przy kąpieli, a Eddie nie życzył sobie żadnej. Melody trzeba było poczytać książeczkę, Eddie sam przeczytał jeden rozdział o czerwonoskórych. Wujek przyszedł ucałować dzieci na dobranoc.

- W bawialni - szepnął, wychodząc z pokoju Melody. Kiedy Hope weszła, odłożył komputer i rzekł:

- No, jednak szczęśliwie dotrwałaś do końca pierwszego dnia.

- Szczęśliwie, to za dużo powiedziane - sprostowała. Opadła na kanapę. Miała przemoczoną bluzkę i zachlapane spodnie. Złożyła mokry fartuch i, nie bardzo wiedząc, co z nim zrobić, rzuciła na podłogę.

- Nieźle się spisałaś - ciągnął Ralph. - Jak na początek, oczywiście. Ale musisz krócej trzymać te wisusy. Szczególnie Eddiego, bo stale dokucza siostrze.

- Tak to widzisz? Wyciągnęła nogi na kanapie. - A ja widzę, że muszę ci otworzyć oczy, Pamiętasz awanturę z piłką?

- Częsty numer Eddiego.

- Może częsty, ale nie jego. Coś mi wyglądało podejrzanie, więc zabawiłam się w detektywa. I okazało się, że każda awantura jest sprawką panny Metody. Ten słodki aniołek terroryzuje brata, i to z twoim błogosławieństwem. A biedny Eddie nie wie, jak się bronić.

- Opowiadasz banialuki, moja pani.- Ralph zerwał się i zaczął nerwowo chodzić po pokoju. - Ta kruszyna nie mogłaby rzucić nawet o połowę lżejszej piłki, a co powiedzieć o takiej dużej i ciężkiej.

- Wmawia ci, a ty jej wierzysz. Przed kolacją przyłapałam ją na gorącym uczynku.

- Niemożliwe.

- Oj, mężczyźni, mężczyźni! - pogardliwie prychnęła Hope. - Tak łatwo dajecie się zwieść niewinnej mince. Toż ta mała skacze ci po głowie. Rex od razu się na niej poznał, bo chował się z takim niewiniątkiem.

- Mówisz o kimś tu obecnym? Hope poczerwieniała jak burak.

- Tak. Ale wyrosłam i jestem dużo milsza.

- Szkoda, że cię wtedy nie znałem.

- A po co? Chciałbyś znać takie czupiradło? Teraz wiem, że byłam nie do zniesienia.

- A winę za wszystkie wysoki ponosił brat, tak?

- Na nic lepszego nie zasługiwał.

- Dlaczegoż to, moja droga?

- Ty... nie.. - wcale nie zrozumiesz. Kiedy urósł...

- Czyli kiedy cię przerósł?

- Nie śmieję się! Ani się waz!

- Zazdrość?

- Nic nie rozumiesz. - Hope poderwała się. - Nawet za sto lat nie pojdziesz. Moje siostry powychodziły za mąż, a ja zostałam sama z Michaeliem.

- Rodziców nie było?

- Ojciec rzadko siedział w domu, a mama stale miała pełne ręce roboty przez Michaela. Wiadomo, najmłodszy, beniaminek... A psocił co niemiara.

- Głównie za twoimi podszeptami?

- Też wymyśliłeś!

Drgnęła, ponieważ zadzwonił telefon, stojący na stoliku obok. Automatycznie podniosła słuchawkę.

- Tak?

- Hope? - spytał znajomy głos.

- Och, Michael, jak dobrze, że dzwonisz. Nie masz pojęcia...

- Pojęcie mam, ale czasu nie. Kochana, chciałem tylko powiedzieć, żebyś wytrwała na placu boju. Browne przysłał genialne rozwiązanie problemu już o czwartej po południu. Przeszedł sam siebie. Trzy-cztery tygodnie takiej współpracy i wszystkich zakasujemy. Całuję.

Usłyszała odgłos braterskiego pocałunku i odkładanej słuchawki. Stała bez ruchu.

- Dzwonił wielki brat? - uprzejmie zapytał Ralph. - Mężczyzna, który...

- Zamknij się - rzuciła z irytacją. - Tak, to był mój wielki brat i, jeśli nie przestaniesz, zadzwonię po niego, żeby...

- ...dał mi nauczkę?

Poczuła narastającą złość, więc czym prędzej odłożyła słuchawkę.

- Sama mogę to zrobić - ostrzegła, groźnie łypiąc okiem. - Nie potrzebuję pomocy.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Chcesz się przekonać?

Zacisnęła pięści i postąpiła krok do przodu. Ralph cofnął się, przy czym nieopatrznie nastąpił Rexowi na ogon. Pies warknął i uciekł za kanapę. Ralph podniósł obie ręce do góry.

- Nie szarżuj. Uspokój się! Twój brat będzie nieszczęśliwy, jeśli mnie unieszkodliwisz.

Błysnął zębami w szerokim uśmiechu, który doprowadził Hope do furii.

- Zaraz ci się odechce śmiać!

Zamachnęła się prawą ręką. Ralph uniknął ciosu i śmiał się coraz serdeczniej. Patrzyła na niego buńczucznie zza jasnej grzywy, opadającej na oczy. Nie umiała darować, gdy ktoś się z niej naigrawał. Wydała bojowy okrzyk rozjuszonego Indianina, skoczyła, uczepiła się rękoma szyi Ralpha, a nogami owinęła wokół jego bioder. I... zgasiła jego uśmiech pocałunkiem.

Zupełnie zaskoczony, oparł się o ścianę. Czuł na sobie piersi Hope. Pełne piersi pod mokrą bluzką. Chciał powiedzieć coś dowcipnego, lecz usta miał zamknięte nieoczekiwanym pocałunkiem. Zrezygnował z ironii. Objął Hope i mocno przytrzymał, więc natychmiast zaczęła wierzgać. Podciągnął ją wyżej, prawie wziął na ręce jak dziecko. Hope odsunęła głowę, zaczerpnęła tchu i usiłowała zebrać myśli. Nie bardzo rozumiała, co i jak się stało, ale dostrzegła, że Ralph chce ją pocałować. Wykręcała się tak długo, aż jej głowa znalazła się pod jego brodą. Delikatnie opuścił ją nieco niżej. Westchnęła, jak gdyby żałowała, że musi oderwać się od niego.

Ralph powoli przesunął dłoń wyżej, aż dotknął jej piersi. Hope przeszył dreszcz, jakiego nigdy w życiu nie zaznała. Nerwowo chrząknęła i szepnęła ledwo dosłyszalnie:

- Puść mnie.
- Już nie chcesz mnie udusić?
- Na razie nie.
- Brat cię w tym wyręczy?
- Bo ja wiem...
- Uciekniesz do domu?
- Najlepiej by było, ale nie ucieknę.

Postawił ją na podłodze. Hope oparła głowę na jego piersi.

- Mam straszny charakter - wyznała szeptem, więc usłyszały ją tylko guziki jego koszuli. - Straszny - dodała głośnie.
- Nie zauważyłem.

Uniosła głowę, aby zobaczyć, czy z niej kpi. Ralph patrzył na nią z powagą.

- Żartujesz!

Wyciągnął z kieszeni olbrzymią, kraciatą chustkę.

- Masz. Wytrzyj oczy i nos. Nie żartuję.

Wziął ją na ręce i zaniósł na kanapę. Hope wygodnie usadowiła się na jego kolanach, przytuliła i objęła go za szyję.

- Dlaczego jeszcze nie wyszłaś za męża?

- Ja? - Zaczęła wietrzyć podstęp, ale Ralph wcale się nie śmiał. - Czemu? Chyba dlatego, że nikt mi się nie oświadczył.

- A ty nie mogłaś wystąpić z inicjatywą?

- Co to, to nie. Nie uchodzi. Poza tym...

- Dokończ.

- Jeszcze nie spotkałam nikogo, z kim chciałabym to robić.

- Co robić?

- Nie udawaj Greka. Wiesz, o co mi chodzi. Puść mnie. - Ralph rozłożył ręce, więc wstała. - Pewnie wyglądam jak nie-boskie stworzenie - mruknęła, obciągając bluzkę i palcami przeczesując włosy.

- W moich oczach wyglądasz bosko - rzekł Ralph półgłosem.

- Lepiej już sobie pójdę - szepnęła.

Prędko wyszła z pokoju i wbiegła na schody. W głębi korytarza zamajaczył jakiś cień, więc zapaliła światło.

- Chodzę we śnie! - krzyknęła Melody, z wrażenia przysiadając na piłce. - Jak ona się tu znalazła? - spytała ze zdziwioną minką.

- Słuchaj no, brzdącu - powiedziała Hope surowo. - Jeżeli jeszcze raz ta piłka narobi hałasu...

- Dostanę lanie?

- Nie. Nie uznaję bicia dzieci.

- To dobrze. - Dziewczynka roześmiała się, zadowolona i w podskokach pobiegła do sypialni. - Niech Eddie zanieś piłkę na miejsce. Proszę, Ja nie mogę jej unieść,

- Ty czorcie - rzuciła za nią Hope, - Biedny Eddie. I biedny wujek Ralph.

RS

## ROZDZIAŁ TRZECI

Poniedziałkowy świt wstał mokry, posepny. Dom Ralpa był usytuowany po zachodniej stronie wzgórza, które zasłaniało poranne słońce nawet latem. W deszczowe dni dom tonął w ponurym mroku. Hope obudziło natarczywe stukanie do drzwi i warczenie Rexa. Przetarła oczy i półprzytomna poderwała się z łóżka. Stała bosymi stopami na zimnej podłodze.

- Przecież tu był jakiś chodnik - mruknęła niezadowolona. - Rex! Wiesz coś na ten temat?

Pies leżał na chodniku, który zaciągnął pod okno i zrobił sobie posłanie. Teraz odwrócił łeb, jak winowajca. Ponownie uderzono w drzwi.

- Pali się?! - krzyknęła gniewnie.

Niezdarnie narzuciła zieloną podomkę, którą odziedziczyła po Becky. Nie mogła pokazać się dzieciom w starej, bawełnianej bluzie po Michaelu. Bluza olbrzymiego brata sięgała jej do kostek, ale była sprana i miejscami mocno przetarta. Hope szczelnie otuliła się podomką i bez pośpiechu poszła otworzyć drzwi. Na progu stało troje naburmuszonych domowników.

- Poniedziałek - poinformował ją Eddie.

- Cieszę się - mruknęła zaspanym głosem. - Jakieś święto?

- Nie i dlatego Eddie musi iść do szkoły - powiedziała Melody. - Ja nie muszę - dodała z dumą.



- Wszyscy chcemy zjeść śniadanie, a Eddie musi zabrać kanapki do szkoły — włączył się Ralph. - Nie słyszałaś budzenia?

Hope dopiero teraz usłyszała dzwonki, więc usprawiedliwiła się urażonym tonem.

Taki pech! - jęknął Ralph. - Znowu mamy gospodynię, do której nic nie dociera, zanim nie napije się kawy,

- Ale ja ją lubię - powiedziała Melody i objęła Hope za udo.

- Jest miła i miękka, i...

- Sprawdź. - Eddie podszedł z drugiej strony.

- Ja też - ochoczo zawołał, Ralph.

- Wara! - powstrzymała ich Hope. - Tylko dziewczynkom przysługuje prawo do przytulaneek. Mężczyznom wzbronione.

- Przecież ja... - zmartwił się Eddie.

- O, chłopcy to co innego. - Przytuliła malca. - Ale mężczyźni? Mowy nie ma. Szczególnie po tym, jak wasz wujek kiedyś potraktował mnie w szkole,

- Co zrobił? - zainteresowała się Melody. - Coś brzydkiego?

- Wujek nic nie zrobił - oświadczył Ralph. - Został uniewinniony.

- Bo sędziowie nie byli bezstronni - zaperzyła się Hope.

- Sami mężczyźni! Czego można się spodziewać po takich sędziach?

- Dziewuchy - mruknął Eddie z pogardą i przysunął się do wujka. - Na święcie powinni być tylko mężczyźni.

- Jeszcze jedno takie bluźnierstwo, a nie dostaniesz śniadania - zagroziła Hope. - Ani dziś, ani jutro!

- Jejku! - Melody aż przysiadła z wrażenia.

- Idziemy do kuchni - zarządził Ralph.

Jeden pies, dwoje dzieci i dwoje dorosłych zeszło na dół. Jajka na bekonie oraz naleśniki z syropem wszystkim, oprócz Hope, od razu poprawiły humor.

Po śniadaniu Eddie wziął książki i kanapki i pobiegł na przystanek autobusowy. Melody poszła na górę się bawić.

Ralph i Hope zostali przy stole. Hope piła już czwartą czy piątą filiżankę kawy.

Ralph rozmawiał z dziećmi podczas śniadania, a ona obsługiwała ich w milczeniu, jakby przez sen. Teraz Ralph odezwał się do niej:

- Przysięgam, że wtedy na balu naprawdę nic nie zrobiłem.

Popatrzyła na niego spode łba.

- Ja chyba lepiej wiem. Skompromitowałeś mnie przed całą szkołą. Nigdy ci tego nie zapomnę - powiedziała ostro. - Nawet za sto lat.

- Bądźże rozsądna i przypomnij sobie, jak było. Tańczyliśmy w takt jakiejś zwariowanej melodii...

- No i co z tego? - przerwała lodowatym tonem.

- Koło nas szalała cała grupa ludzi i ktoś z nich miał nożyczki, którymi przeciął ramiączka twojej sukni.

- Przecież? Raczej rozdarł. I ten ktoś to pan, panie Browne. Nie opowiadaj bajek o nożyczkach.

- Ktoś inny przeciął ramiączka, ale ty uderzyłaś mnie. - Potarł policzek, jakby poczuł uderzenie. - Tak mocno, że się przewróciłem.

- Za karę dano mi wilczy bilet na dziesięć dni i matka wysłała mnie do Attleboro, do Becky, żebym się uspokoiła.

Ralph znowu potarł policzek.

- Za mało ci się dostało - dorzuciła Hope. - Szkoda, że nie byłam większa.

- Mnie wystarczyło - mruknął zbolalym głosem. - Kapitan szkolnej drużyny piłkarskiej został znokautowany przez pchłą, która wróblowi do pięt nie dorasta.

- Coś powiedział? - warknęła. - Nigdy nie byłam pchłą i to mnie wróbel do pięt nie dorasta. - Poczzerwieniła, zacisnęła pięści i skoczyła na równe nogi.

- Nie podskakuj. Od tamtego dnia niewiele urosłaś, ale ja wyciągnąłem się o kilkanaście centymetrów.

Hope znieruchomiała. Ralph wprawdzie nie umywał się do jej brata, lecz był dużo wyższy od niej.

- Skąd - wykrztusiła drżącym głosem - wpadłeś na te nożyczki? Dlaczego nie powiedziałaś dyrektorze?

- Jeszcze raz powtarzam, że nie miałem żadnych nożyczek. - Groźnie pochylił się w jej stronę. - I miałem za słabe ręce, żeby rozerwać te postronki przy sukni. Nawet twój ojciec musiał to przyznać.

- Mój ojciec?

- Twój własny. Przyjechał i wziął mnie na spytki. Potem twój brat, przyszedł siłacz, próbował rozerwać ramięczka i też mu się nie udało.

- Jak nie nożyczkami, to pewnie scyzorykiem - orzekła nieprzejednana. - Po co chciałeś to zrobić?

- Nie chciałem i nie zrobiłem. Nie miałem ani nożyczek, ani scyzoryka. Lubiłem cię wtedy, nawet za bardzo. - Popatrzył na nią ze smutkiem. - Romantyczne mrzonki skończyły się, gdy wysłano cię do zakonnicy.

- Ale...

Hope zarumieniła się lekko. Pamiętała, że i ona wyjątkowo go lubiła, lecz dwuletni pobyt u zakonnicy zrobił swoje.

- Niewiele brakowało, a zostałąbym siostrą miłosierdzia - wybuchnęła. - Wszystko przez ciebie! Komu innemu mogło zależeć na tym, żeby mnie ośmieszyć?

- Koleżance Winters. Była zazdrosna.

- Ale... jak... co... - jąkała się Hope. - Sophie była moją przyjaciółką. To niemożliwe! I do niej niepodobne.

- A jednak. Umówiła się z Rattym Flanniganem i dała mu nożyczki. Słyszałem, jak po balu o tym rozmawiali, zaśmiewając się do rozpuku.

- Ratty? Słabo go pamiętam. Co się z nim stało?

- Dwa dni później stłukłem go na kwaśne jabłko.

- Przecież mógł cię zabić. On chyba był wyższy od ciebie.

- Czasem liczą się umiejętności, nie wzrost.

- Bo ja wiem...

- Ale ja wiem. Czuję, że nadal mi nie wierzysz. Zresztą to samo powiedziała mi twoja matka. Wiesz, zawsze ją lubiłem - zakończył, wychodząc z kuchni.

- Ja też bardzo mamę lubię - szepnęła Hope do siebie. Nagle z holu dobiegł śmiech Ralpha i Melody. Zawołała dziewczynkę, żeby z nią omówić pewną ważną sprawę.

- Ale ja mam sukienkę - powiedziała zdumiona Melody.

- Jest za ciasna i nie pasuje do rudych włosów. Mamusia chyba kupiła ją w ubiegłym roku.

- To nie mamusia. Wujek mi ją kupił na urodziny - wyjaśniła Melody. - Dobry wujek, prawda?

- Bardzo dobry, ale może nie zauważył, że urosłaś. Na pewno chętnie kupi ci następną. Może nawet dwie. Taka ładna dziewczynka powinna mieć dwie sukienki.

- Jestem ładna? - Melody weszła na krzesło i przejrzała się w lustrze.

- Chodź, uczeszymy się, a potem pójdziemy do wujka powiedzieć mu, że powinien być zadowolony z takiej siostrzenicy.

Kiedy weszły, Ralph popatrzył na nie wilkiem.

- Nie lubię, gdy mi ktoś przeszkadza w pracy - syknął ze złością.

- Mam pilną...

- Praca nie zajac, a poza tym nie tak ważna jak siostrzenica - bezceremonialnie przerwała mu Hope. - Dziecko jest nieszczęśliwe,

bo ma tylko jedną, i to przyciasną sukienkę. Trzeba jej coś kupić. Chyba nie chcesz, żeby mała najadła się wstydu, gdy pójdzie do przedszkola? Ja wszystko załatwię, a ty nie musisz nawet palcem kiwnąć. Wystarczy, że podpiszesz czek. A może wolisz dać mi kartę kredytową? Mnie wszystko jedno.

- Boże, zmiłuj się nade mną. Straciłem wolność we własnym domu.

- Mogłybyśmy teraz jechać i wrócić razem z Eddiem. Dzięki temu odzyskasz wolność na pół dnia. Przygotuję kanapki, żebyś nie zasłabł z głodu.

- Dobrze - niechętnie zgodził się Ralph. - Jedźcie niepotrzebnie wyrzucać pieniądze. - Podał Hope kartę Visa. - Żegnam panie.

Hope wzięła Melody za rękę i mrugnęła porozumiewawczo.

- Czy starczy na dwie sukienki? - zaniepokoiła się przyszła elegantka.

- Chyba tak. Może nawet na trzy.

- Hurra! - krzyknęła Melody. - Kochany wujek!

- Bardzo kochany — przyznała Hope.

Umyła dziewczynkę i przebrała ją w jedyną sukienkę. Włożyła płaszcz przeciwdeszczowy i zapięła się pod samą brodę. Wyszły na werandę, na świat tonący w strugach deszczu.

- Biegiem? - spytała Melody.

- Nie. Jestem bardzo kiepskim kierowcą, więc zostań na werandzie, żebym cię nie przejechała. Podstawię jeepa pod same schody.

- Wujek ma buicka i furgonetkę.
- Nie mogę się równać z takim bogaczem.

Melody nie miała nic więcej do powiedzenia, więc włożyła palec do buzi i podeszła do balustrady. Koło schodów zrobiła się już spora kałuża, ale Hope udało się tak podjechać, że stanęła tuż przy stopniach.

Otworzyła drzwi i skinęła na Melody, która zręcznie wskoczyła do samochodu. Za nią wśliznął się Rex.

- Pies też chce sukienkę?
- Nie. Chce, żebym miała kłopot, bo psów nie wpuszczają do Gallerii Malls.
- A dziewczynki?
- Grzeczne dziewczynki tak. Zapnij pas. Małe dzieci muszą być zabezpieczone.
- Nie jestem małym dzieckiem. - Melody wykrzywiła usta w podkówkę. - Wujek.
- Dobrze, dobrze. Jesteś dużą, grzeczną dziewczynką. Rex, złaż z siedzenia!

Na drodze nie było zbyt dużego ruchu. Melody pokazywała palcem każdy mijany samochód, cały czas wierciła się i paplała. Bez przygód zajęły na parking przy Gallerii Malls.

- Ale duży.
- Największy na południu Massachusetts. I zawsze pełen. Wiesz, powinniśmy kupić specjalny fotelik dla dzieci.
- Wujek już ma, ale ja nie chcę siedzieć w foteliku.

- Widzisz tego policjanta?

- Tak.

- Jeśli zobaczy, że nie ma fotelika, zaaresztuje mnie i wsadzi do więzienia.

Melody obojętnie wzruszyła ramionami.

- Potem ciebie zawiezie do domu, a wujka zaaresztuje i jego też wsadzi do więzienia.

- Nie!

- Tak. - Hope westchnęła ze smutkiem, gdy zrozumiała, że sojusz kobiet rozpadł się z powodu fotelika i więzienia. - No, wysiadamy.

Zostawiły Rexa w samochodzie i poszły na obchód sklepów.

Trzy godziny później miały już w torbie sześć sukienek i trzy pary butów. Zadowolone z zakupów poszły coś zjeść. Po lunchu wybrały się do działu z bielizną dziecięcą.

Ekspedientka uśmiechnęła się i nieopatrznie zapytała:

- Jaki rozmiar nosi ta malutka?

Pogorszyła sprawę, gdy wyciągnęła rękę, aby pogłaskać małą klientkę po główce. Melody odsunęła się, tupnęła nogą i wrzasnęła na całe gardło:

- Nie jestem malutka!

To był dopiero wstęp, a Hope już się zaczerwieniła.

Nagle Melody rzuciła się na podłogę i zaczęła kopać i wyć. Hope myślała, że spali się ze wstydu. Ekspedientka cofnęła się i przestała uśmiechać.



- Przepraszam - szepnęła Hope. - Jest trochę zmęczona. Melody zaczęła jeszcze głośniej krzyżeć. Podeszło kilka matek, każda z jakąś dobrą radą. Hope miała ochotę uciec, gdzie pieprz rośnie. Rozejrzała się wokół błędnym wzrokiem.

Podszedł miły, starszy pan i z dobrotliwym uśmiechem na ustach pochylił się nad histeryzującym dzieckiem.

- Mam takie wnuczki - powiedział - i wiem.

- Uprzedzam pana... - odezwała się Hope.

Nie zdążyła dokończyć. Melody ugryzła starszego pana, który krzyknął z bólu i rzucił kilka bardzo nieparlamentarnych słów.

Spojrzał na Hope z góry i oznajmił głośno:

- Co za wychowanie. Taki duży bachor, a gryzie niewinnych ludzi. Fe!

- Za dużo zamieszania - nieudolnie broniła dziecka Hope. - To przecież...

W porę się zreflektowała, że jeśli powie „maleństwo”, będzie jeszcze gorzej.

- Proszę uspokoić córkę - zwrócił się do niej starszy pan.

- To nie moje dziecko-wyrwało się zrozpaczonej Hope.- Ja tylko...

- Mama, zrobiłam siusiu! - zawołała Melody, wstając. Hope szarpnęła ją za rękę i pociągnęła w stronę wieszaków z płaszcami. Pragnęła co prędzej umknąć i ukryć się przed nadchodzącym policjantem, którego widocznie ktoś zawołał. Przykucnęły w samym

kację, lecz kryjówka nie na wiele, się zdała, Po minucie przerażona Hope usłyszała tuż za plecami:

- Mam je.

Melody chciała coś powiedzieć, więc Hope szybko położyła jej rękę na ustach. Dziewczynka uśmiechnęła się i pokazała palcem.

Hope niechętnie odwróciła głowę i jej wzrok padł na parę męskich butów.

- Są tutaj.

Głos wydał się jej znajomy, więc spojrzała w górę i głucho jęknęła.

- Nie, to niemożliwe! Alfredzie, dlaczego nas szpiegujesz?

Alfred pogłaskał ją po głowie.

- Duży pan - szepnęła Melody.

- Ale niedobry.

- Przez ciebie wyleciałem z Latimore Incorporated - rzekł Alfred Pleasanton, - Oko za oko. Musimy wyrównać rachunki.

Hope wiedziała doskonale, że to groźba na przyszłość.

- Niedoczekanie twoje! Nie mam zamiaru niczego wyrównywać syknęła jadowitym tonem.

Podszedł policjant, przed którym uciekała.

Ralph siedział w fotelu, trzymając na kolanach Melody. Eddie przykucnął na podłodze między fotelem a Rexem. Hope siedziała na kanapie i czekała na zakończenie drugiego przesłuchania.

- I co było potem? - cicho zapytał Ralph.

- Złapała mnie za rękę - z przejęciem opowiadała dziewczynka - i mocno szarpała. Schowałyśmy się za płaszczami. Ukucłyśmy...

- Ukucnęłyśmy - poprawił Eddie.

- Ile ona ma lat?- odezwała się Hope. -Trzy czy trzynaście?

- To trzyletnia kruszyna. Tydzień temu jeszcze miała dwa latka.

Jej mamusia stale choruje i...

Eddie podszedł do Hope i szepnął jej prosto do ucha:

- Ona nie umie siusiać do nocnika.

- ...policjant nas zabrał - ciągnęła Melody.

- Co ja słyszę, Hope?

- Zarzucono mi, że jestem wyrodną matką. A ja przecież nie mam dziecka!

- Dostałam lody - zakończyła Melody.

- A ty zadzwoniłaś po ojca?

- Po ojca? Nigdy bym się nie ośmieliła. Zadzwoniłam do mamy.

- Pani przyjechała , nas zabrała. Miła pani. Ma duży samochód z telewizorem. I wszystko. Cały czas się śmiała.

- Dobrze, że pani nie wzięli - powiedział Eddie, ściskając Hope za rękę. - Chcę, żeby pani u nas została. Lubię panią.

- Dziękuję, kochanie. - Hope przytuliła malca. - Wiesz, Ralph, mam dziwne uczucie, że mnie ktoś śledził...

- Czyżby? Eddie, czas na kąpiel.

Chłopiec pocałował Hope w policzek, ale na odchodnym postanowił z ponurą miną:

- Nigdy się nie ożenię.

- A ja nie wyjdę za mąż - mruknęła Hope, patrząc przed siebie.  
Rex podszedł i polizał swą panią, lecz to jej nie pocieszyło.
- Melody, idź do łóżka - polecił Ralph. -Za chwilę do ciebie przyjdę.
- Wolę, żeby pani Hope mi poczytała.
- Ja też umiem czytać - rzekł wujek urażonym tonem. - Już nie pamiętasz? Codziennie ci czytałem.
- Bardzo wujka kocham - Melody uśmiechnęła się przymilnie - ale pani Hope ładniej czyta.
- No, dość gadania. Marsz na górę!
- Zaraz przyjdę - obiecała Hope. - Tylko coś powiem wujkowi.  
Melody pocałowała wujka, pogłaskała psa i mocno uściskała Hope.
- Ale było, co? - Uśmiechnęła się od ucha do ucha i wybiegła z pokoju.
- Widzę, że mi zabrałaś serce ukochanej siostrzenicy - poskarżył się Ralph.
- Dlaczego mnie nie uprzedziłeś, że ona ciągle jeszcze robi w majtki?
- Zapomniałem.
- To póki pamiętasz, powiedz mi coś o jej matce.
- Niewiele jest domówienia. Siostra choruje prawie od chwili, gdy urodziła drugie dziecko.
- To dlatego ten bąk stale czepia się brata. I ciągle coś psoci.
- Kobieta! Chce zwrócić na siebie uwagę.

- Dziecko! Chce trochę miłości.
- Studiowałaś psychologię?
- Kto? Ja?
- Tak. Ty.
- Nie. Byłam na anglistyce. Ale psychologię przerobiłam z mamą, gdy jej pomagałam w kuchni. Przy pieczeniu, gotowaniu...
- Po co opowiadasz mi o matce?
- Wcale o niej nie opowiadam.
- To może o sobie?
- A daj mi spokój! - zniecierpliwiła się. - Nie lubię otwierać przed kimś swojej duszy. Szczególnie przed takim domorośłym psychoanalitykiem.
- Zlituj się! Wciąż jeszcze gniewasz się za to, czego nie zrobiłem? - Ralph wstał i postąpił dwa kroki w jej stronę.
- Hope zerwała się jak oparzona i schowała za kanapą.
- Nie śmiesz tknąć mnie nawet palcem! - krzyknęła.
- Palcem?- Ralph wybuchnął jakimś dziwnie gardłowym śmiechem, aż Hope przeszły ciarki.
- Matka wtajemniczyła ją w kilka spraw związanych z mężczyznami, lecz była to wiedza teoretyczna. Na ogół nieprzydatne informacje. I nie powiedziała najważniejszego, a mianowicie, że córka może kiedyś spotkać mężczyznę, który będzie czytał w jej myślach.
- Boisz się mnie?
- Nie - odparła, odwracając wzrok. - Alfreda albo jemu podobnych tak, ale ciebie nie.

Ralph stanął w pół kroku.

- Jakiego Alfreda?

- Nie znasz go. I nie warto znać.

- Może lepiej, żebyś mi o nim opowiedziała.

- Może lepiej nie.

- Hmm... - Ralph podszedł do barku, by wyjąć butelkę. - Przyda mi się kieliszek brandy. A ty wypijesz coś?

- Dziękuję. Pójdę do Melody.

- Najpierw mnie powinnaś dotrzymać towarzystwa. Napij się chociaż soku.

Po krótkim namyśle doszła do wniosku, że nie ma powodu do obaw, ponieważ Ralph jest na swój sposób bardzo sympatycznym człowiekiem.

- Dobrze, niech będzie sok pomarańczowy poprosiła lekko drżącym głosem.

Ralph stał bokiem do niej, więc nie zauważyła, że drgnęły mu usta, a w oczach pojawiły się przekorne błyski.

- Proszę. - Podał jej szklanekę soku. - Nie rozumiem, dlaczego straciłem łaski siostrzenicy. Możesz mi to wyjaśnić?

- Pewnie nie ta płęć.

- Czyli przypadłość, na którą, nie ma lekarstwa. - W jego głosie zabrzmiała ledwo dostrzegalna nuta rozbawienia. - Jaki wzniesiemy toast?

- Toast? Sokiem?

- Nie szkodzi. Czy: jesteś pewna, że mama- zdradziła ci wszystkie sekrety, jakie dorastająca panna powinna znać?

- Jasne. - Trzęsła się jej ręka, więc kostki lodu dzwoniły o szkło.

- Jaki będzie toast?

Ralph uśmiechnął się jak wilk do Czerwonego Kapturka.

- Toast na cześć płci.

Hope niemal oblała się sokiem. Ujęła szklanekę w obie dłonie i odstawiła na stolik.

- Idę do Melody - mruknęła niewyraźnie. I uciekła, jakby ktoś ją gonił.

Najpierw zajrzała do Eddiego. Chłopiec leżał na wznak, z zamkniętymi oczami, z książką na piersi. Weszła na palcach, wyjęła mu książkę z rąk, poprawiła koc, zgasila lampkę przy łóżku. W półmroku Eddie nie wyglądał na ośmiolatka, raczej na rówieśnika Melody. Pochyliła się i delikatnie pocałowała go w czoło.

- Śpij dobrze, kochanie - szepnęła.

Chłopiec otworzył jedno oko i natychmiast je zamknął.

- Dobranoc, mamusiu - mruknął sennym głosem, przewracając się na bok.

Hope zrobiło się ciepło koło serca. Pomyślała, że chyba przyjemnie jest być matką. Jeszcze przez chwilę patrzyła na chłopca, po czym cichutko wyszła z pokoju.

Melody też już spała, ale najwidoczniej rzucała się we śnie. Hope powoli wyciągnęła spod niej koc. Policzki dziewczynki drgnęły, jak gdyby śniło się jej coś nieprzyjemnego. Hope pogłaskała ją po

główce i na chwilę wzięła ją na ręce, całując rozpalone policzki.

Dziecko uspokoiło się. Zostawiła zapaloną małą lampkę.

Przed drzwiami jej sypialni czekał Rex. Było chłodno, więc prędko się rozebrała i, drżąc na całym ciele, wskoczyła do zimnego łóżka. Nie mogła zasnąć, ponieważ co rusz coś zakłócało ciszę. A to nie domknięte okno stukało w porywach wiatru. A to szosą przejeżdżał samochód. Intrygowało ją pytanie, czy nocą kierowcy pędzą szybciej, czy tylko tak się wydaje. Do kogo się spieszą? Do ukochanych? Nagle poczuła się samotna. Prawie usiadła na łóżku, gdy zdała sobie sprawę, że wcale nie tęskni za rodzicami czy bratem, których przecież bardzo kochała, ale za człowiekiem, przed którym w popłochu uciekła na górę.

Niemożliwe! Nie chciała uwierzyć, że mogłaby tęsknić za towarzystwem kolegi ze szkolnych lat. Za Ralphem Browne'em! Tęskniła do zmory z przeszłości?

Zasypiała już, gdy skrzypnęły drzwi. Rex podniósł łeb i zaczął węszyć. Hope zamarła. Serce przestało jej bić, ręce i nogi zrobiły się lodowate. Czyżby Ralph ośmielił się przyjść do niej po... Po co? Poczwała tulące się do niej drobne ciało.

- Boję się - szepnęła Melody, obejmując ją za szyję. - Za moim oknem jest smok, który chce mnie pożreć. Boję się.

Hope nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać.

- Tu na pewno żaden smok nie przyjdzie - zapewniła dziewczynkę. - Możesz spać spokojnie, kotku.



Mocno przytuliła dziecko do piersi. Zaczęła zastanawiać się, jak postąpiłaby, gdyby to jednak Ralph wszedł do jej łóżka. Zasnęła, zanim znalazła odpowiedź.

W nocy zerwała się wichura i wiatr wył jak opętany.

Melody niespokojnie się rzucała. Hope obudziła się i zaniósła ją do jej sypialni. Otuliła dziecko kocem, usiadła na fotelu na biegunach i zaczęła cicho nucić. Monotonne skrzypienie zapewne szybciej uspiło dziecko niż kołysanki. Położyła małą do łóżeczka i wróciła do siebie. O wpół do drugiej znowu się obudziła, tym razem z powodu zamieci, która rozszalała się na dobre. Poszła zobaczyć, czy dzieci śpią, a kiedy wróciła, w łóżku leżał Rex.

- Wynocha, cwaniaku.

Wypchnęła psa i z błogim westchnieniem położyła się na wygrzanim przez niego miejscu. Koło trzeciej wróciła Melody.

- Zimno mi - szepnęła, szczękając zębami.

Wsunęła się do łóżka i lodowatymi stopami dotknęła rozgrzanego ciała Hope. Hope zbudziła się, nie wiedząc, co się dzieje. Mruknęła coś gniewnie, lecz przytuliła drżące dziecko. Kiedy po pewnym czasie usnęła, przyśnił się jej fascynujący sen. Otóż w tym śnie Ralph Browne walczył ze wzburzonymi falami. Ostatkiem sił zdołał dopłynąć do boi i uczepił się jej kurczowo. Boja była przywiązana długą liną do nabrzeża. Na nabrzeżu zaś stała Hope, z nożem w ręku. Już, już miała przeciąć linę, gdy nadeszła olbrzymia fala, rycząc: Hope! Hope!

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Przed świtem zaczął sypać śnieg. Najpierw powoli i cicho leciały z nieba wielkie płatki, ale to nie trwało długo. Wkrótce rozpełtała się taka zawierucha, że w stacjach meteorologicznych kilku stanów ogłoszono alarm. O piątej wiatr przeszedł w huragan. Z Kanady pędziła zamieć, która na swej drodze pokrywała wszystko grubą warstwą śnieżnego puchu.

O wpół do szóstej do sypialni Hope przyszedł Eddie. Odsunął zasłony, aby było widać, co się dzieje na dworze. Wchodząc niezgrabnie do łóżka, obudził siostrę.

- Nie pchaj się - mruknęła Melody. - Idź do szkoły.

- Nie będzie dzisiaj lekcji - oznajmił Eddie radosnym głosem. - Prawda, że nie będzie?

Z tym pytaniem zwrócił się do Hope, która usiadła i z wielkim wysiłkiem otworzyła jedno oko. Widok był tak zaskakujący, że otworzyła i drugie.

- Z jakiego powodu? - burknęła. - Ja o niczym nie wiem. Tu decyduje wujek, więc idź go zapytać.

- Już pytałem.

- I co?

- Powiedział, że mam iść do pani. Bo teraz pani rządzi. Tak powiedział. No, to przyszedłem.

- Ukatrupię go! - zagroziła Hope. - I wrzucę w największą zaspę, żeby go nikt nie znalazł.

- Ja się boję - szepnęła Melody. - To najlepszy wujek w całej rodzinie.

- Najlepszy, bo jedyny - uściślił jej brat.

- Nie krzyczcie, bo zaczyna mnie boleć głowa. Pewnie będę miała migrenę, a wtedy jestem do niczego.

- To póki pani jest do czegoś - rzekł praktyczny malec - proszę powiedzieć, że szkoła będzie zamknięta.

- Szkoła będzie zamknięta - zakomunikowała Hope. Położyła się i zamknęła oczy.

- To niesprawiedliwe! - zgłosiła sprzeciw Melody.

- Co jest niesprawiedliwe?

- Też chcę coś dostać! Eddie dostał wakacje, a ja co? Zawsze ma być równo. Trzeba powiedzieć wujkowi.

- Ja do niego nie pójdę - zawołał Eddie.

- Pani musi iść - zdecydowała mała despotka.

- Dobrze, tylko mi się tu nie pobijcie.

Hope westchnęła z rezygnacją i usiadła, lecz nie otworzyła oczu.

Wyszła z łóżka po omacku.

- Lepiej niech pani tam nie idzie - ostrzegł Eddie.

- Dlaczego? - spytała, wkładając podomkę.

- Ja na pani miejscu bym nie szedł - powiedział. Hope wyszła już na korytarz.

- Przecież ktoś musi iść - zauważyła Melody.

- Będzie draka.

- Dlaczego?

- Bo wujek śpi bez pidżamy.

Hope szła, nie otwierając oczu. Sypialnia Ralpa, z przyległą łazienką, znajdowała się na końcu korytarza.

Ralph uprzedził, że drzwi zawsze są lekko uchylone, ponieważ chce słyszeć, co się dzieje u dzieci. Stała na progu i zawołała niezbyt głośno:

- Ralph!

Nie otrzymała odpowiedzi, więc z wahaniem weszła do sypialni i stanęła w nogach łóżka. -Ralph?

Cisza. Okna były zasłonięte, więc w pokoju panował mrok. Hope pociągnęła za róg poduszki i zorientowała się, że w łóżku nikogo nie ma.

- Ralph! - mruknęła już ze złością. - Gdzie jesteś? Pościel była ciepła, co oznaczało, że wstał niedawno. Hope poczuła, że ma lodowate stopy, więc usiadła i okryła je ciepłym kocem. Z powodu wichury nie słyszała plusku wody w łazience.

- Jasna cholera by to wzięła - szepnęła i pociągnęła koc, by przykryć się nim aż po czubek głowy. - Muszę na niego zaczekać. - Z tymi słowami zasnęła.

Łóżko zachwiało się i zaskrzypiało. Naraz zrobiło się dużo cieplej. Hope półprzytomnie pomyślała, że przytuliła się do niej Melody. Ułożyła się wygodniej i zasypiała na dobre, gdy tuż przy jej głowie coś przeraźliwie zabrzęczało.

Z trudem uniosła lewą powiekę. W pokoju było już jaśniej. Na nocnym stoliku stał natarczywie dzwoniący telefon. Chciała usiąść,

lecz coś ją przygwoździło do łóżka. Spojrzała zaintrygowana i zobaczyła rękę. Dużą, męską rękę, a nie rączkę dziecka. Była zbyt rozespana, aby się wystraszyć.

Nagle w jej polu widzenia pojawiła się druga ręka, która ujęła słuchawkę.

- Kogo? Tak, jest tutaj. Hope, telefon do ciebie.

- Do mnie? Kto? - mruknęła schrypnięta. - Powiedz mu, że zadzwonię później.

- To nie on, lecz ona - powiedział Ralph. - Wolałbym nie...

- Nie gnieć mnie - warknęła. - I powiedz jej, że nie będzie lekcji z powodu śniegu.

- Nie sądzę...

- Oj, zamknij się - przerwała mu i schowała się pod koc. Ralph powiedział coś do telefonu i odłożył słuchawkę.

- Kto to był? - nagle zainteresowała się Hope.

- Dzwoniąca przedstawiła się jako twoja matka.

- Przedstawiła się?

- Trudno poznać po głosie osobę, z którą rozmawia się przez telefon pierwszy raz.

- Coo?

Hope zaczęła uświadamiać sobie, że ani głos nie jest dziecinny, ani ciało, obok którego leży, małe. Odsunęła się, wciąż nie otwierając oczu.

- I co powiedziałaś?

- Że cała się schowałaś i nawet nosa nie chcesz wysunąć spod koca.

- Jakiego koca?

- Mojego.

Hope usiadła i odepchnęła rękę leżącą na jej piersi.

- Powiedziałeś mojej matce, że jestem tutaj i...

- Wszystkiego nie powiedziałem. Nie mam takiego długiego ozora.

Hope szarpnęła koc w swoją stronę i odkryła nagiego Ralpha.

- Co robisz w moim łóżku?! - krzyknęła zdenerwowana.

- To raczej ja powinienem cię o to zapytać. - Pociągnął koc i się przykrył. Lewą ręką dotknął uda Hope, która rzuciła mu nienawistne spojrzenie. - To moje własne łóżko - dodał.

- Przestań!

- Co mam przestać?

- Dobrze wiesz, co!

- Ach, przepraszam - mruknął ze skruchą, ale nie zdjął ręki z jej uda.

- Niech cię diabli!

- Ja nie wciskam się chyłkiem pod cudzy koc.

- Wciskam chyłkiem?! - krzyknęła.

- Wciskasz, nie wciskasz, ale tu jesteś. Po co? Chyba przyszłaś na pieszczoty. Doskonały pomysł w taki paskudny dzień.

- A, przypomniało mi się. Miałam zapytać, czy Eddie musi iść do szkoły. Ciebie tu, nie było, a mnie skostniały stopy, więc chciałam

je rozgrzać. Potem ty przyszedłeś i się na mnie rzuciłeś. Jaki z ciebie mężczyzna?

- Normalny - stwierdził ze spokojem i pochylił się nad nią. - Wiesz, przy takiej pogodzie człowiek traci panowanie...

- Nie wiem! Ja zawsze nad sobą panuję. - Wyskoczyła z łóżka na lodowate linoleum. - Nie chcę cię znać! - krzyknęła i ze złości zaklęła jak szewc.

- Nie doprowadzaj się do szewskiej pasji - poradził Ralph, śmiejąc się w kułak. Nawiało tyle śniegu, że nie będziesz mogła uciec pod matczyne skrzydła. Zasy py będą ci sięgać do... no, bardzo wysoko.

- Jesteś, ..jesteś... paskudny. Ty...

Przy drzwiach rozległo się szuranie.

- Właśnie widzę! - szepnęła, Melody.

- Patrzę - powiedział Eddie. - Jak mama i tata. Wujku, pobierzecie się?

- Jak mi tu kaktus wyrośnie! - zawołała Hope.

- Sami widzicie, że wybranka mego serca nie jest zainteresowana małżeństwem ze mną - rzekł Ralph i westchnął tragicznie. - Niepowetowana strata.

- Nie gadaj byle czego. Sam również nie masz na to ochoty. Też mi przyjemność!

Do pokoju wszedł Rex. Hope pogłaskała go po łbie i przytuliła się do jego ciepłego, potężnego cielska. Zasłoniła się nim przed dziećmi, ponieważ wstyd jej było, że jest skąpo ubrana.

- Szkoda, że nie chcecie się pobrać - zmartwił się Eddie.

- Ale ja i tak nie idę do szkoły. Napadało już chyba pięć metrów śniegu.

- Raczej pięć centymetrów - sprostował wuj - lecz do szkoły nie pojedziesz. A teraz chciałbym was pożegnać i trochę się przespać. Prawie przez całą noc Wojowałem z komputerem. Wracajcie do łóżek. Odmarsz.

- Popieram projekt - ucieszyła się Hope, która wprawdzie od kilku minut miała otwarte oczy, ale w środku nadal spała.

- Jestem głodna - pisnęła Melody.

Hope popatrzyła na nią, jak gdyby ujrzała siebie sprzed lat. Wiedziała, na co Się zanosi, gdyż znała wyobraźnię takich małych tyranów.

- Chodź, skrzacie. Idziemy do kuchni.

- Ja też mogę? - spytał Eddie, biorąc siostrę za rękę.

- Jest jajecznicca, parówki, grzanki, sok pomarańczowy - wyliczała Hope, nakrywając do stołu. Zauważyła Rexa i dodała:

- Ty dostaniesz rybę.

- Wie pani co? - spytał Eddie.

- Nie, ale zaraz się dowiem,

- Pani jest już dwa dni, a jeszcze nie mieliśmy owsianki.

- Owsianki? - Spojrzała na dzieci podejrzliwie. - Bardzo ją lubicie?

- Ja nie cierpię! - Eddie skrzywił się z obrzydzeniem. - Ale wujek tylko to umie gotować.

- Ja lubię wujka - piskliwym głosem zawołała Melody.



- Owsiankę też?

-Nie.

- Dlaczego pani za niego nie wyjdzie? - indagował chłopiec. - Jak mama jest wściekła na tatę, to krzyczy: „Nie porównuj się z moim bratem! Niech on tylko się ożeni, to zobaczysz, jaki będzie z niego mąż-anioł”. Chciałbym wiedzieć, co to znaczy.

- Ja ci nie powiem - odparła Hope ostrożnie. - Nie mam zielonego pojęcia. Jedną parówkę czy dwie?

Rex szczeknął trzy razy, a dzieci zaaprobowały taką porcję parówek. Hope wrzuciła odpowiednią liczbę kiełbasek do wrzątku.

Postawiła talerze na stole, naląła soku i usiadła. Musiała przyznać, że dzieci wcale niegłupio myślą. Właściwie nic nie stało na przeszkodzie, aby poślubiła ich wujka. Chyba tylko to, że Ralph nie oświadczył się o jej rękę, a poza tym był dla niej trochę za mądry. Zrobiło się jej nieswojo. Miała kompleks niższości, ponieważ nie dorównywała mądrymu rodzeństwu. I od lat prześladował ją pech. Może przegra również w najważniejszej życiowej sprawie i nie znajdzie męża? Dobrze byłoby wiedzieć, czy Ralph jest aniołem, czy kimś wręcz przeciwnym. Pomyślała, że nawet gdyby był diabłem wcielonym, żona zdołałaby go zmienić. Kobieta potrafi dokonywać cudów! Czy aby na pewno? Był to temat, do którego matka i siostry wracały w każdej rozmowie. I do jakiego wniosku dochodziły?

- Nigdy w życiu - stanowczo twierdziła matka. - Trzeba brać mężczyznę takim, jaki jest, albo nie brać wcale.

Słyszając to, Becky nieodmiennie wybuchwała śmiechem.

- Mamo, gdyby słuchano twojej rady, żadna kobieta nie wyszłaby za męż.

- Dlaczego? Przecież żona także może się zmienić - konkludowała Mattie cichym głosem.

Po takim dictum panie zazwyczaj zaczynały rozmawiać na inne tematy - omawiały przepisy i snuły wspomnienia.

Hope nieraz zastanawiała się, co mogłaby w sobie zmienić. Teraz w związku z Ralphem... O wilku mowa. Ralph wszedł do kuchni i kosym okiem powiódł po zebranych.

- Wy zasłużyliście na śniadanie, a ja nie?

- Tak.

- Kto tak twierdzi?

- Ona - jednocześnie odpowiedziały dzieci, z tym że Melody palcem wskazała Hope, natomiast Eddie siostrę.

- Chcesz coś? - spytała Hope bez specjalnego zainteresowania.

- Jasne, że chcę.

- Owsiankę?

- Takie paskudztwo? - Ralph usiadł między Melody a Eddie. - Gdybym marzył o owsiance, sam bym ją sobie przygotował.

- Bardzo dobra wiadomość - rzekła Hope oficjalnym tonem. - Bo po dzisiejszym epizodzie nie mam zamiaru dla pana gotować. Koniec, kropka.

Melody pociągnęła brata za rękaw.

- Co to jest epizod?

- Nie wiem. Jeszcze nie przerabiałem.

- Wujku, co to jest?

- Ja też nie przerobiłem - mruknął Ralph. - To chyba numer z telewizji. Pokazują coś w sobotę, ale tylko kawałek, bo reszta będzie w niedzielę.

- Wykręcił się sianem! - syknęła Hope, zanim ugryzła się w język. To nie był temat dla dzieci, więc uśmiechnęła się i poleciała: - Idźcie się umyć i ubrać. Włóżcie coś ciepłego. Jeśli na dworze nie jest za zimno, możemy... możecie iść z wujkiem pobawić się na śniegu, tylko.

- Ale...-zaoponował Ralph.

- Hurrra! - wrzasnął Eddie. Ralph usiłował zaprotestować.

- Tylko trzeba odgarnąć śnieg przed schodami - dokończyła Hope z niewinną miną. - Eddie jest silny, więc ci pomoże. Melody zostanie ze mną, bo jeszcze nie nadaje się do odgarniania śniegu. Upieczemy chleb. Czy wujek jadł kiedyś chleb pieczony w domu?

- Nie, ale pomysł jest pierwszorzędny - zawołał Ralph z entuzjazmem.

Wstał od stołu i przechodząc koło Hope, uszczypnął ją w policzek. Pochylił się nad nią i wycedził przez zaciśnięte zęby:

- Nie jestem twoim wujkiem, zapamiętaj to sobie! Pocałował ją w zarumieniony policzek i wyszedł, wesoło pogwizdując.

- Zaraz dam ci w łeb! - szepnęła Hope pod nosem.

- W łeb? - przeraziła się Melody. - Mojemu wujciowi?

- Chleb - głośno powiedziała Hope. - Dam ci chleb.

Dziewczynka odetchnęła z ulgą i z ochotą zabrała się do pracy razem z Hope.

Pół godziny później spytała z niedowierzaniem:

- To naprawdę będzie chleb?

- Naprawdę. Powinnaś mieć do mnie zaufanie. Na własne oczy zobaczysz chemiczny cud. Ale nie gap się, tylko mieszaj.

Entuzjizm Melody zmalął, gdy odstawiły ciasto, żeby urosło.

Wyjrzała przez okno i zawołała:

- Eddie i wujek rzucają się śnieżkami! - Zaczęła podskakiwać i dopingować: - Eddie, mocniej! Wujek, jeszcze!

Łopaty bezużytecznie leżały koło schodów, a podjazdu nadal nie było widać spod śniegu. Zadzwonił minutnik, przypominając o nowym punkcie w rozkładzie dnia.

- To na ciebie, Melody.

- Na mnie?

- Czas na nocnik - przypomniała Hope. - Masz nauczyć się siusiać co półtorej godziny. Idź na górę.

- Sama?

- Jesteś dużą dziewczynką, czy nie?

- Bardzo dużą. Ale wujek mówi... Oj, szybko, szybko.

O dziesiątej podjazd był odśnieżony. Eddie i Ralph wpadli do kuchni, robiąc nieludzki hałas.

- Cicho, bo nie dostaniecie gorącej czekolady - usiłowała przekrzyczeć ich Hope. - Eddie, idź przebrać się i umyć ręce.

- Ja też? - Ralph wyszczerzył zęby w łobuzerskim uśmiechu.

- Oczywiście.

- Rozkaz!

Wbiegła Melody, od drzwi wołając:

- Ciociu, zrobiłam! Zrobiłam!

- Czym ona się chwali? - Eddie spojrzał na siostrę sceptycznym wzrokiem. - Gdzie jest chleb?

- Jeszcze w piecu.

- Co Melody zrobiła?

- To damska tajemnica.

Mężczyzna i chłopiec spojrzeli na siebie porozumiewawczo i wybiegli z kuchni na wyścigi. Ralph wrócił pierwszy i ciężko opadł na krzesło.

- Coś knujesz?

- Kto? Ja?

- Kto? Ja? - przedrzeźnił ją. - Słodkie niewiniątko! Znam cię nie od dziś, więc nie udawaj przede mną. Co wyczyniałaś z Melody, gdy ja szkoliłem Eddiego?

- Szkoliłam. Jak mnie mama przed laty. Masz więcej pytań?

- Nie. Muszę przyznać, że rozwinęłaś się całkiem, całkiem. Jeśli Melody będzie choć w połowie taka, jej rodzice cię ozłocą.

- To komplement?

- Tak. W dodatku szczery.

Aby ukryć zmieszanie, Hope czym prędzej zajrzała do piekarnika.

- Ale tu ładnie pachnie - szepnął Ralph, przykucając obok.  
- Chleb - wyjaśniła, odpychając go łokciem.  
- Jaki tam chleb. - Przytulił ją i przytknął nos do jej ucha. - O tym zapachu mówię.

Patrzyła na niego jak zahipnotyzowana. Ralph z wolna pochylił głowę i ustami musnął jej wargi.

- Wujku, co robisz? - zawołała podekscytowana Melody. - Żenisz się z ciocią?

Ralph niechętnie odwrócił głowę.

- Żenię się? - powtórzył. - Co ci przyszło do głowy? Skądże! Ja tylko pocałowałem kucharkę. Chciałem sprawdzić, czy jest gotowa do schrupania, jak świeży chleb.

- Chleb! - przeraźliwie krzyknęła Hope.

Nałożyła rękawice i szarpnęła drzwiczki piekarnika. Kuchnię wypełnił mocny zapach chleba i słaby spalenizny.

- Chleb jest gotowy - ogłosiła wszem i wobec, a w duchu dodała: Ja też.

Pod wieczór chmury zaczęły przesuwać się nad Ocean Atlantycki. O siódmej na granatowym niebie pokazały się gwiazdy. Dzieci już spały po dniu pełnym wrażeń. Ralph był pogrążony w lekturze, Hope zajęta robótką na drutach, a Rex szukaniem pcheł. Ciszę przerwał Ralph, gdy odłożył książkę i zapytał:

- Co dziergasz?

- Prezent na Gwiazdkę - odparła, pokazując pół dziecięcego sweterka.

- Do Bożego Narodzenia szmat czasu.
  - Miał być na poprzednie, dla synka Faith. Nie zdążyłam zrobić i musiałam kupić jakiś prezent.
  - To przestępstwo?
  - W naszej rodzinie tak. Prezenty mają być dawane z serca, nie z kieszeni.
  - Panna Latimore nie jest biedna, a kupić łatwiej.
  - Właśnie dlatego się nie liczą. Musimy mocno główkować, bo ze wszystkimi żonami, mężami i dziećmi jest nas czternaścioro.
  - Tylko ty jedna nie masz pary?
- Hope przestała migać drutami i robótka wypadła jej z rąk. Gdy mężczyźni napomykali o pieniądzach Latimore'ów, zaczynała mieć się na baczności. Przekrzywiła głowę na bok i spojrzała na Ralpha zezem.
- Tak - odparła ponuro.
  - Nikt nie chciał ożenić się z tobą dla pieniędzy?
  - Wielu chciało.
  - Ale tobie żaden się nie podobał?
  - Na to wychodzi.
  - Śpiąca królewna!
  - Śpiąca jestem, ale żeby zaraz królewna?
  - Już za długo śpisz, kochanie. Czas, żebyś się zbudziła.
  - Nie rozumiem, do czego zmierzasz.
  - Powinien zjawić się książę, który obudzi cię pocałunkiem.
  - Co ty wygadujesz? Skąd ci to przyszło do głowy?
  - Znikąd. A może jesteś już w towarzystwie księcia?

- Nie opowiadaj mi bajek!

Włożył zakładkę do książki i wstał bez pośpiechu. Chciała wybuchnąć śmiechem, lecz nie zdążyła. Ralph z trudem wcisnął się obok niej. Przesunął rękę po oparciu kanapy i położył na ramieniu Hope.

- Wygodnie ci? - spytał cicho. - Jest ci wygodnie?

- Tak sobie. I co teraz?

- Punkt drugi.

Przesunął drugą rękę tuż pod jej piersiami i zamknął ją niby w obręczy.

- Też wygodnie?

- Niezbyt - odparła lekko drżącym głosem.

- A teraz...

- Co teraz?

- Teraz robimy tak. - Odchylił jej głowę. - I całujemy królową w policzek. W czubek nosa.

- Mam łaskotki.

- A teraz ostatni punkt programu.

Delikatnie pocałował ją w usta. Zacisnął ramiona, ale nie tak mocno, żeby nie mogła się wyrwać, gdyby miała ochotę. O dziwo, nie chciała. Siedziała bez ruchu, niezbyt mądrze uśmiechnięta. Budzenie królowy przerwała Melody, która przybiegła z pretensją.

- Ciociu, zapomniałaś mi poczytać.

- Powiedz jej, żeby się wyniosła - szepnął Ralph, bezskutecznie próbując się odsunąć.



- To twoje oczko w głowie!

- Ciociu! - płaczącym głosem pisnęła Melody. - Przyniosłam książeczkę.

- Dobrze, skarbie. Usiądź tu między nami - głośno powiedziała Hope, a ciszej syknęła: - Odsuń się.

Melody wgramoliła się między dorosłych, usiadła wygodnie i otworzyła książeczkę.

- Ale Eddie będzie zły, jak mu powiem, że ciocia i wujek razem mi czytali.

- Lepiej mu nie mów. To będzie nasza tajemnica — zaproponował miłosierny wujek.

- Mogę go obudzić - zaproponowała Hope. - Wtedy wszyscy będziemy zadowoleni.

- Ja nie, cholera, ja wcale nie. Siedź i czytaj, zanim mnie nerwy poniosą - syknął Ralph.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

W środę Hope obudziła się w pokoju zalanym słońcem. Była zła, że nie zaciągnęła zasłon i że światło za wcześnie ją zbudziło. Za wcześnie? Wskazówki budzika stały na godzinie dwunastej, lecz zegar nie tykał. Niemożliwe, żeby była północ, gdy jasno świeci słońce!

Spuściła nogi z łóżka na gołą podłogę. Znowu nie było chodnika! Rex go zabrał i zrobił sobie posłanie za fotelem. Przysunęła pantofle, sięgnęła po podomkę i wyszła z sypialni.

W korytarzu panowały ciemności choć oko wykol, więc nacisnęła kontakt, ale światło się nie zapaliło. Nacisnęła jeszcze raz. Nic. Czyli wysiadł prąd.

Na prowincji nie należało to do rzadkości. Obojętnie wzruszyła ramionami i zeszła na dół. Na parterze też nie mogła zapalić żadnej lampy.

W kuchni, przy martwym komputerze, siedział Ralph. Czytał coś przy świetle padającym przez okno.

- Witaj, bogini obfitości - rzekł, podnosząc głowę znad wydruków.

- Kogo witasz? - Hope rozejrzała się. - Chyba nie mnie? Moja siostra mogłaby być boginią. Szkoda, że mnie tam nie ma.

- Czekaaj, czekaaj, bo mam mętlik w głowie. Gdzie chciałabyś być?

- Na Karaibach. W St Kitts. Siostra z mężem mieszka na wyspie, na której nigdy nie ma śniegu. - Opadła na najbliższe krzesło. - Co widzisz? Kawa?

- Dobrze widzisz. Czyżbyś chciała...

- ...napić się kawy? Tak. Dzieci jeszcze śpią? Ralph skinął głową i podał jej filiżankę.

- Marna kawa, ale kawa. Byłaś w tropikach? Jesteś globtroterką?

- Tak i nie.

- Co tak i nie?

- Odpowiedziałam na twoje pytania.

Nadzwyczaj wyczerpująco. - Uśmiechnął się ironicznie. - Rano dużo można się od ciebie dowiedzieć.

- Byłam w tropikach. W asyście całej rodziny, bo sama nigdy bym się nie odważyła jechać. Nie lubię podróżować.

- Trudno uwierzyć.

- Postaraj się.

- Nie mogę, Nie ma prądu, komputery strajkują więc wpadłem w depresję bezrobotnego.

- Zaraz cię zatrudnię. Jest śnieg do odgarnięcia. Pewnie z metr nawiało.

- Nawet ze dwa w zaspach.

- Śnieg to duża frajda dla dzieci.

- Racja. Zaraz obudzę Eddiego.

- O siostrzenicy zapomniałeś?

- Jest za mała, żeby rzucać się śnieżkami.

- Możesz spróbować.  
- Chcesz przewrócić mój świat do góry nogami?  
- Ktoś to musi zrobić - rzekła pół żartem, pół serio, zdziwiona, że ośmieliła się coś takiego powiedzieć.

- Jestem głęboko zobowiązany - rzekł Ralph z miną, która zadawała kłam słowom.

Hope przełknęła łyk kawy i zakrztusiła się.

- Ale świństwo!  
- Jak pomyje, co? - Ralph zaśmiał się półgębkiem. - Ale kto tu jest gosposią? Gdybyś wstała wcześniej, nikt by nie musiał pić takiego paskudztwa.

- Zawsze ja jestem wszystkiemu winna. - Załamała ręce udając rozpacz, po czym bez namysłu wylała kawę do zlewozmywaka. - Jak przeżyłeś do tej pory beze mnie?

Ralph spoważniał i wyznał tragicznym głosem:

- Już byłem jedną nogą w grobie. Zrobisz kawę?  
- Tak, ale lepszą. Wszystko robię lepiej.  
- Wiesz ty co? - zapytał Ralph.  
- Nie wiem nic a nic.  
- Moja siostra i szwagier jeszcze długo muszą się leczyć. Jeśli znowu zacznę prowadzić gospodarstwo, jak nic możemy się zatruć  
- Zatruć? - powtórzyła Hope, węsząc podstęp, ale Ralph miał najniewinniejszy wyraz twarzy.  
- Tak. Śmierć trojga opuszczonych.  
- Jak... jak uniknąć takiej tragedii?

- Jest jedno proste rozwiązanie: panno Latimore, pani po winna wyjść za mnie.

- Co takiego? - Hope cofnęła się w najdalszy kąt kuchni

- Raczej powinnam stąd wyjść jak najprędzej.

- Racz mnie poślubić. Chyba że wymyślisz coś lepszego

Wczoraj miałaś doskonały pomysł.

- Ja? Pomysł? Doskonały? - Z wrażenia nie mogła sklecić całego zdania. - Mama... to... Moja rodzina nigdy się nie zgodzi - powiedziała, jakby odzyskała władzę umysłu. - Idź obudzić dzieci.

- Nie zastawiaj się dziećmi. Czy wyznajesz zasadę, że nie należy robić dziś tego, co można zrobić jutro?

- Mam różne zasady! krzyknęła, wybiegając.

Godzinę później w drzwiach sypialni stanęła Melody.

- Ciociu?

- Co, słoneczko?

- Nie będzie śniadania?

- Wujek nic wam nie przygotował?

- Dał owsiankę. Ale ja chcę prawdziwe śniadanie, Jajka, bekon, parówki, grzanki...

- Jesteś głodna?

- Tak.

- Ja też, ptaszyno. Chodź, zaraz coś przekąsimy..

Na schodach spotkały Eddiego, który rzekł tonem wyższości.

- Wujek kazał nam ubrać się ciepło, bo wychodzimy. - Mówiąc to, wstrząsnął się, jakby poczuł mróz na plecach- Będziemy odgarniać śnieg.

- To się ubierz. Ja zostaję. My idziemy na prawdziwe śniadanie - powiedziała Melody, oblizując się.

- Ale wujek...

- Wujek Ralph nie jest już moim wujkiem. Teraz Hope...

- Przecież kobieta nie może być wujkiem - zgorszył się malec. - Wujek musi być mężczyzną,

- Co ty tam wiesz!

- Wujek kazał...

Melody pokazała mu język i pobiegła za Hope. Eddie, wbrew rozkazom, poszedł za nimi. Wujek Ralph siedział przy kuchennym stole, pochylony nad papierami. Podniósł wzrok i z marsem na czole popatrzył na wchodzącą trójkę.

- Kazałem wam ciepło się ubrać.

- Niech wujek nie mówi do mnie - odważyła się powiedzieć Melody. - Ciocia i ja zjemy śniadanie. A wujek i Eddie mogą wyjść.

- Znowu chcesz jeść? Przecież już was nakarmiłem!

- Nie, wujku. Owsiana paćka to nie śniadanie.

Po chwili namysłu Ralph rozpogodził się, nawet uśmiechnął

- Co racja, to racja - przyznał.

Wyciągnął ręce do Melody, która z okrzykiem radości wskoczyła mu na kolana. Ukochany wujek wrócił do łask.

Zdegustowana Hope pokręciła głową. Według niej dziewczynka nie miała charakteru. Tylko dlatego, że wujek był bardzo męski, przystojny z wdziękiem... Przywołała się do porządku i otworzyła lodówkę.

- Czy starczy dla trojga? - nieśmiało spytał Eddie, z nadzieją w głosie. - Zjadłem tylko trochę owsianki.

- A może starczy dla czterech osób? - wtrącił Ralph. - Ja tej niewiele jadłem.

Hope odwróciła się do nich plecami, aby nie zauważyli satysfakcji na jej twarzy. Z triumfalną miną wyciągnęła największą patelnię...

Po śniadaniu Ralph znalazł w garażu sanki, które prawie się, rozlatywały, ale od biedy nadawały do zjeżdżania. Droga, łagodnie opadająca ku szosie, stanowiła idealny teren do zjazdów. Nie groziło żadne niebezpieczeństwo, ponieważ wzdłuż szosy leżały wysokie zwały śniegu. Rano pługi oczyściły szosę, odcinając od świata wszystkie dalej położone domy.

- Chyba całkiem zgłupiałam - zrzędziła Hope, wlokąc sanki pod górę.

Tak mocno zmarzła, że aż szczękała zębami. Miała rozwiane włosy i zaróżowione policzki. Obserwujący ją Ralph pomyślał że jest bardzo piękna.

- Uśmiechnij się! - zawołał dla dodania jej otuchy. - Trzeba mieć sportowego ducha, gdy...

Nie dokończył, ponieważ Eddie popchnął sanki i obaj błyskawicznie śmignęli w dół. Sanki z impetem zaryły w śnieg, razem z Ralphem, który nie zdołał w porę wykręcić.

- Ale heca! - krzyknął rozbawiony malec.

Melody trzęsa się ze śmiechu, lecz Hope zachowała powagę. Wiedziała, że niektórzy mężczyźni mają dziwne pojęcie o godności osobistej, więc nie wypadało jej śmiać się jak dziecko. Czekwała z zapartym tchem, co będzie dalej. Po paru sekundach śnieg trysnął fontanną w górę, a Ralph wygramolił się, wołając:

- Zabawa na całego!

Kiedy zjeżdżanie trochę im się sprzykrzyło, męska załoga zaczęła śnieżkami bombardować żeńską. Melody sprytnie schowała się za Hope, która wkrótce była przemoczona, więc straciła cierpliwość i zrejterowała do kuchni. Cała trójka oskarżyła ją o brak sportowego ducha.

Musiała przyznać im rację. Aby poprawić sobie nastrój, przygotowała nadziewane wafle i gorącą czekoladę.

Kiedy nagle do kuchni wbiegł Eddie, powitała go pogodnym uśmiechem.

Chłopiec miał przerażoną minę.

- Ciociu! Och, ciociu! - wołał.

- Stało się coś? Dlaczego krzyczysz?

- Szybko! Szybko! Wujek...

- Co wujek?

- Ciociu, chodź!



Wybiegli z domu. Rex pędził przed nimi i ujadł jak oszalały. Hope z trudem nadążała, ponieważ śnieg sięgał jej powyżej pasa. Za rogiem domu jej oczom ukazał się następujący widok: Melody chlipała u stóp pagórka, a Eddie szedł w stronę Ralpha, który siedział na szczycie i głośno przeklinał.

Wzięła Melody na ręce i spytała z niepokojem:

- Coś ci się stało?

- Nie. - Dziewczynka mocno przytuliła się do niej. - Ale...

Natychmiast postawiła ją na ziemi.

- Zaczekaj to na mnie - przykazała i poszła śladami Eddiego.

- Zaczekaj! - krzyknęła Melody ze złością. - Czeka! Zrób to!

Zrób tamto!

Mała histeryczka rzuciła się na śnieg i płaczliwym głosem wylizowała, czego jej nie wolno.

Hope nie zawróciła, lecz dogoniła Eddiego i krzyknęła:

- Powiesz wreszcie, co się stało?!

- Wujek chciał nas nauczyć jeździć na nartach... Niecierpliwie machnęła ręką i poszła dalej. Stała przed

Ralphem, który miał bardzo nietęgą minę.

- Co...?

- Lepiej nie pytaj.

- Chciałeś nauczyć dzieci jeździć...

- ...na nartach.

- To jeszcze niczego nie wyjaśnia.

- Przewróciłem się...

- Ale... Przecież to nawet nie jest ośła łączka! Ty...

- Skrócę cię o głowę, jeśli będziesz ze mnie kpić!

- Jakżebyś śmiała - powiedziała ze strachu o głowę, ale widziała komizm sytuacji: wysportowany Ralph Browne skrzył nogę podczas zabawy na śniegu. - Trzeba działać. Przecież nie będziesz tu siedział, aż wyzdrowiejesz. Pomogę ci wstać.

Wzięła go pod pachy i chciała dźwignąć. Ralph jęknął, więc go puściła.

- Boli?

- Jak na torturach. Ja tu posiedzę, a ty idź...

- Wykluczone - przerwała niecierpliwie. - Chcesz nabawić się zapalenia płuc? Wstawaj! Straciłeś sportowego ducha?

- To śmieszne, ale chyba złamałem nogę.

- Niemożliwe! Co teraz zrobimy?

- Zadzwoń pod 911 i powiedz, żeby przysłali karetkę na State Road 1638, bo pewien cymbał złamał lewą nogę tuż nad kostką. Idiota.

- Cymbał złamał - powtórzyła bezmyślnie. - Dobrze, już lecę. - Odwróciła się do Eddiego, który właśnie podszedł i poleciła mu: - Zostań tutaj. Wujek złamał nogę, więc idę dzwonić na pogotowie.

Potykając się i ślizgając, zeszła na dół i zabrała naburmuszoną Melody. Nie rozbierając się, zasiadła przy telefonie. Pogotowie zgłosiło się stosunkowo prędko.

- Dobrze, zaraz przyślemy kogoś ze szpitala Morton. Ale na razie nie mamy wolnej karetki, bo dzisiaj dużo takich pacjentów.

- Dużo? - Hope przeraziła się, że Ralph może będzie musiał do wieczora siedzieć na mrozie.

- Niestety. Przy takiej pogodzie ludzie łamią ręce i nogi jak zapalki.

Dwadzieścia minut później przyjechała karetka z chudym, łysym lekarzem oraz grubą pielęgniarką o bujnych, rudych włosach. Po pobieżnym badaniu przybyli zgodnie orzekli, że pacjent istotnie złamał nogę.

- Zabieramy pana do szpitala - zdecydował lekarz. - Wygląda na proste złamanie, ale lepiej zrobić prześwietlenie. Trochę głupio złamać nogę nie w Himalajach, a na odrobinie śniegu, co? Jest pan ubezpieczony?

- Jestem - mruknął Ralph, dotknięty ironią lekarza. - Bądź tak dobra i przynieś mój portfel - zwrócił się do Hope tonem, jakim jej matka mówiła w sądzie.

- Pani Browne, dobrze by było, żeby pani też pojechała.

Hope tak się spieszyła, że zaniemówiła.

- Pacjenci potrzebują wsparcia.

- Ja... nie... dzieci nie mogą zostać same - powiedziała spłoniona, nie prostując pomyłki.

- Cholera, idź po portfel - zdenerwował się Ralph. -I weź dzieci do domu - burknął- bo się przeziębą.

Jęczał i mruczał coś pod nosem, gdy kładziono go na nosze i chwiejnie niesiono do karetki. Pielęgniarka porozumiewawczo mrugnęła do Hope.

- Chory mąż to maruda do kwadratu - rzekła półgłosem.

- Pewnie przywiozą go do domu jeszcze dzisiaj albo najdalej jutro. Czy macie na parterze coś do spania? Chory nie będzie mógł chodzić co najmniej przez miesiąc.

- Trzeba będzie przenieść łóżko - mruknęła Hope. Karetka odjechała na sygnale, chociaż szosa była pusta.

- Dlaczego... - zaczął Eddie.

- Ciociu - przerwała mu siostra głosem pełnym pretensji - czemu mnie okłamałaś?

- Okłamałam? Kiedy?

- Dlaczego jechali na sygnale? - dokończył Eddie. - Przecież wujkowi nic nie było. Sam mi mówił.

- Może lubią robić dużo hałasu. - Hope powiedziała to, co jej przyszło do głowy.

Była pewna, że posypią się dalsze pytania, lecz chłopiec wzruszył ramionami i poszedł do domu. Chwilę patrzyła na jego plecy, po czym odwróciła się i stanęła oko w oko z obrażoną Melody.

- Ciocia mówiła, że nie ożeni się z wujkiem, a się ożeniła - Zarzuciła jej dziewczynka.

- Co ty wygadujesz?

- Ta pani powiedziała „pani Browne”, a ciocia nic nie mówiła. Dorośli nie powinni kłamać. Kłamstwo to straszny grzech.

- Boże - Hope wzniosła ku niebu złożone ręce - zmiłuj się nademną. Ta pani się pomyliła, skarbie. Twój wujek i ja nie jesteśmy

małżeństwem. Nie byliśmy wczoraj, nie będziemy jutro ani za tydzień.

- A za miesiąc?

- Za miesiąc też nie. Przestań paplać, bo muszę się zastanowić, jak przenieść łóżko na dół.

- Dlaczego? Jak się nie ożenicie, to po co wam łóżko na dole? - dociekała Melody.

Hope miała wypróbowany sposób na ucinanie dziecięcych pytań. Podparła się pod boki, spojrzała groźnym wzrokiem i powiedziała ostrym tonem:

- Dlatego!

Odwróciła się na pięcie i odeszła. Melody nie wiedziała, jak zareagować na taki przejaw rozumowania dorosłych, więc ruszyła za nią, mamrocząc coś do siebie.

Eddie siedział w bawialni, głęboko zamyślony.

- Wujek mógłby spać tutaj, koło kominka - orzekł. - Ma przecież śpiwór.

- Niezłe rozwiązanie. Tu będzie mu dobrze.

Między bawialnią a kuchnią znajdowała się łazienka, więc wszystko było pod ręką. Tylko spanie na podłodze na dłuższą metę nie jest wygodne. Hope sięgnęła po telefon.

- Nie ma nas w domu - powiedział niechętny męski głos.

- To po co się odzywasz? Nie odkładaj słuchawki - warknęła Hope, która dawno temu nauczyła się, jak postępować ze szwagrem. - Muszę poradzić się lekarza.

- Dziecino, jesteś chora?

Jedynie matka i Jake Meadows mieli prawo nazywać ją „dzieciną”, więc nie zareagowała. Zresztą Jake już wołał żonę.

- Nie chcę Becky! - krzyknęła o sekundę za późno.

Siostra od razu rozpoczęła medyczny wywiad.

- Co ci dolega?

- Mnie nic, chociaż ciężko pracuję, Ale mój... - Co?

- No tak, pracuję. Jako gosposia, a on... Nie, przecież mówiłam, że jestem gosposią. Nie, ma się czym chwalić... Tak, złamał nogę. Karetka zabrała go do szpitala Morton, a ja.... Tak, mama już wie i... Nie!

Usłyszała, że Becky przekazuje informację mężowi.

- Wreszcie trafiła na odpowiedniego mężczyznę. Ale dziś złamał nogę. Chyba Morton.. .Hope, jesteś jeszcze?

- Tak.

-Spokojna głowa. Jedziemy do szpitala. Już wychodzimy.

- Nie trzeba-jęknęła zrozpaczona.-Ja nie po to... Becky, odłożyła słuchawkę.

- Ma ciocia jakiś kłopot? - cicho spytał Eddie, - Nie, tylko siostrę.

Eddie spojrzał na nią ze zrozumieniem i, pocałował w policzek. Hope wykręciła kolejny numer.

- Latimore Incorporated - odezwał się miły, kobiecy głos.

- Nazywam się Hope Latimore i muszę porozmawiać z bratem.

Bardzo pilne - wyrzuciła jednym tchem.

- Łączę - powiedziała telefonistka.

Słysząc było, że łączy z trzema różnymi numerami, za każdym razem powtarzając: "Hope Latimore. Pilne". Wreszcie odezwała się najważniejsza sekretarka i bardzo oficjalnym tonem powiedziała: „Łączę z panem Latimore”. Hope usłyszała głos brata. Głos, w którym brzmiał tłumiony gniew.

- Co się dzieje? Ojcu wysiadło, serce?

- Nie. Wujek Ralph złamał nogę.

Michael odetchnął z ulgą.

- Wystraszyłem się, że ojcu... Przykro mi, że wuj Ralph złamał nogę, bo to paskudnie boli. Cholera, co to za wuj? Dziecino, streszczaj się, bo jestem straszliwie zajęty.

- Nie jestem żadną „dzieciną”! - wybuchnęła Hope. - Ty jesteś najmłodszy.

- Nie wrzeszcz przez telefon! - krzyknął Michael. —  
Przepraszam cię, tak mi się wymykęło. I przykro mi, że jakiś wuj złamał nogę. Ale dlaczego z tego powodu robisz szum w Latimore Incorporated? - Następne słowa były niewyraźne, widocznie informował sekretarkę. - Mojej siostrze wysiadły nerwy. Proszę im powiedzieć, że zaraz wrócę.

- Niech powie, że natychmiast musisz wyjść! - wrzasnęła Hope.

- Zaraz ci przypomnę wuja Ralpa. To ten komputerowy orzeł, dzięki któremu oszczędzacie miliony.

- Ralph Browne? - zapytał Michael z pewną dozą szacunku w głosie. - Złamał nogę? Zadzwoń do Becky albo Jake'a.

- Rozmawiałam z jednym i drugim, chociaż wcale ich nie potrzebuję - rzuciła nieco pogardliwie. - Za mali. Ty mi jesteś potrzebny. Przyjeżdżaj natychmiast.

Słyszała wyraźnie, że Michael zaczyna liczyć do dziesięciu. Doliczył do dwudziestu i spokojnie zapytał:

- Wytlumacz mi, dlaczego oni są za mali.  
- Z powodu łóżka. Przecież to jasne.  
- Jak fusy. Z powodu łóżka...  
- Nic nie rozumiesz. Nikt mnie nie rozumie. - Załamał się jej głos. - Nie zasługuję na takie traktowanie. Za co?

Michael wystraszył się nie na żarty, ponieważ w rodzinie Latimore'ów nikt nie płakał, nawet najmłodsza kobieta.

- Siostruniu - powiedział łagodnie - wyobraź sobie, że mam szesnaście lat. Już?

Hope skinęła głową.

- On nie słyszy, jak się kiwa głową - logicznie zauważył Eddie.  
- Wyobraziłam sobie.  
- Teraz powiedz mi wszystko krótkimi, prostymi zdaniami.  
- Dobrze. - Hope odchrząknęła. - Ralph Browne przewrócił się i złamał nogę. Wezwałam karetkę. Powiedziano, że odwiozą go dziś albo jutro. I że powinien spać na parterze.

- W czym problem?

- Ralph będzie w gipsie cały miesiąc. Na parterze nie ma łóżka. A laboratorium komputerowe jest na poddaszu.



- Dotarło! - zawołał Michael. - Dlatego potrzebny ci duży mężczyzna. Może dwóch albo trzech.

- Jak nie przeniesiesz całego majątku, on nie będzie pracował. A jak nie będzie pracował, ja nie będę mogła... - Załkała.

- Uspokój się, kochanie. Dokończ. Czego nie będziesz mogła? Eddie wyrwał jej słuchawkę z ręki i krzyknął:

- Całować się z wujkiem!

Hope odebrała mu słuchawkę,

- Nie słuchaj, co mówi ośmioletni smarkacz. Dużo on wie.

- Pamiętam, że ja w jego wieku już sporo wiedziałem. - Michael zaśmiał się, rozbawiony. - Chłopcy wiedzą więcej niż dziewczynki.

- Też coś! Możesz przyjechać, czy nie?

- Wcale nie mogę, ale przecież muszę. Do zobaczenia.

- Dziękuję - powiedziała, ocierając łzy.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jake Meadows przyjechał pierwszy i przetań szlak dla pozostałych członków rodziny. W grubym futrze otyły szwagier wyglądał jak niedźwiedź. Był szpakowaty, miał niecałe metr osiemdziesiąt wzrostu i najsprawniejsze palce w Nowej Anglii. Hope z rozbawieniem przypomniała sobie, że przez pierwszych pięć lat zwracała się do niego per pan. A teraz zbiegła z werandy i rzuciła mu się w ramiona.

- Jak dobrze, że już jesteś.

- Akurat nie miałem żadnej operacji, więc mogłem pospieszyć na ratunek. Becky została z inwalidą w szpitalu, a ja przyjechałem zobaczyć, jak sobie radzi nasza Calineczka.

Wniósł ją po schodach, jakby była piórkiem. Melody stała w korytarzu. Po przywitaniu poważnie obesła gościa naokoło i obejrzała ze wszystkich stron.

- Duży - zawyrokowała. - Narzeczony?

- Szwagier. Moja siostra za niego wyszła.

- Ciocia nie zdążyła?

- Byłam niewiele starsza od ciebie.

- Aha.

- Melody koniecznie chce, żebym wyszła za mąż - wyjaśniła

Hope. - Co z Ralphem?

- Nic groźnego - odparł Jake, zdejmując płaszcz. - Jeszcze dziś założą mu gips i odeślą do domu. Becky go przywiezie. Czy możesz

mi zdradzić, kim jest ten młody człowiek i czemu przez niego postawiłaś na nogi cały klan?

- Myślałam, że to niedźwiedź - odezwała się Melody, jakby zawiedziona. - Nie jest pan niedźwiedziem?

- Nie, moja panno, jestem chirurgiem. Hope, przygotuj się na awanturę. Becky ci nie daruje, że podniosłaś larum. Ja też czekam na wyjaśnienie.

- Jestem jego gosposią.

- Ty gosposią? Nie żartuj! - Rozbawiony spojrzał na szwagierkę, która nagle się zarumieniła. - No, najważniejsze już wiem. A dlaczego nie wezwałaś ortopedy, tylko nas?

- Wcale was nie wzywałam. Zadzwoiłam, żeby zapytać, co zrobić z pacjentem ze złamaną nogą. A ty nie dopuściłaś mnie do słowa i zaraz zawołałaś Becky...

- Głupia sprawa. - Jake pokręcił głową. - Lekarze myślą, że wszystko wiedzą bez pytania.

- To jeszcze bym zniosła. Ale dlaczego - skrzywiła się z niesmakiem - wszyscy traktujecie mnie, jakbym była dzieckiem. Przecież dawno już nie jestem.

- Wiem, ale jakoś zapominam - przyznał szwagier z miną winowajcy.

- Co robi chirurg? - pisnęła Melody.

- Kroci ludzi - wyjaśnił Eddie, który akurat wszedł do pokoju, z pizzą w ręku.

- Jak rzeźnik? - Melody pokazała bratu język i schowała się za krzesło. - On myśli, że wszystko wie.

Typowy mężczyzna! - pomyślała Hope. Nawet chłopcy są przekonani, że zjedli wszystkie rozumy. Żałowała, że zbyt długo była przekonana, iż dużo wiedzą. Jej rozważania na temat mężczyzn przerwał tupot na werandzie. Do pokoju wpadł Michael.

- Gdzie jest łóżko? - zapytał bez żadnego wstępu. Za nim wszedł ojciec.

- Ojej! - Melody uczepiła się spódnicy Hope. - Ale duży pan!

- To mój ojciec.

- A tamten? Jest największy na świecie?

- Może. To mój brat, kochanie.

Za ich plecami ukazał się jeszcze jeden olbrzym. Hope wyrwał się jęk rozpacz, więc prędko zasłoniła usta ręką. Przerażona patrzyła na Alfreda Pleasantona.

- Michael! - szepnęła ledwo dosłyszalnie. - Dlaczego...?

- Zaczynamy przeprowadzkę - zarządził ojciec. - Matka jest w szpitalu, więc mamy trochę czasu, ale lepiej skończyć, zanim przyjedzie i zacznie dyrygować. Wiadomo, jak bardzo lubi rządzić.

- Dobrze, że ja się w nią nie wdałam - rzekła Hope. Przybyli mężczyźni jak jeden mąż popatrzyli na nią sceptycznym wzrokiem.

- Najpierw przesuniemy meble - przerwał milczenie ojciec - a potem zaczniemy znosić, co trzeba.

Hope zabrała Melody i wycofała się do kuchni, aby przygotować dodatkową pizzę.

- Eddie to mógł zostać - marudziła dziewczynka. - Bo jest chłopcem, tak?

- Nie. Dlatego, że ma osiem lat. Kochanie, wyobraź sobie, jak byś się czuła wśród tych olbrzymów. Jeszcze by któryś przez nieuwagę na ciebie nadepnął i co wtedy? Policz na paluszkach, ile ciężkich rzeczy trzeba przestawić i znieść. Do tego mężczyźni idealnie się nadają.

- Do przestawiania i znoszenia?

- Tylko i wyłącznie. Chociaż znieść nie wszystko potrafią. Zapamiętaj sobie na całe życie, że kobiety są delikatne, stworzone do wyższych celów.

- Mamusia też tak mówiła. Mężczyźni wcale nie są mili.

- No, to niezupełnie prawda - zaprzeczyła Hope. - Bardzo dobrze, jeżeli w odpowiednim momencie są pod ręką.

- Do noszenia i przestawiania?

- No, jeszcze do tego i owego.

- Do całowania?

Hope czuła, że się rumieni, więc czym prędzej zmieniła temat.

- Chcesz kawałek pizzy?

Po kwadransie usłyszała, że zajeżdża kolejny samochód, którym przyjechała matka.

Pani Latimore zarządziła kilka poprawek w bawialni i przysłała do kuchni. Usiadła na jednym krześle, a na drugie położyła nogi.

- Mężczyznom ktoś musi organizować pracę - wygłosiła bezapelacyjną uwagę. - Czy węc mnie nie myli? Hope, zrobiłaś pizzę?

- Tak, mammo.

- Kuchnia jest królestwem kobiet - orzekła władczyni rodu Latimore'ów. - Mogę wiedzieć, po co tyle zamieszania?

- Może najpierw, mammo, napijesz się kawy? - nieśmiało zaproponowała córka.

- Dobrze. Najpierw kawa, potem informacja.

Melody, zawsze gotowa informować wszystkich o wszystkim, wystąpiła nie proszona:

- Wujek Ralph stał na górze śniegu i powiedział: „Patrz, jak się... zjeżdża...

- ...slalomem" - dokończył stojący w progu Eddie.

- Właśnie tak - zgodziła się siostra. - Eddie jest moim bratem - przedstawiła go pani Latimore. - Dużo umie, jak na chłopca.

- Melody, wytrzymaj nos.

- Zaraz... Już wytarłam. Wujek wszedł szybko wyżej — ciągnęła nie speszona - zawrócił i usiadł na tyłku, a coś zatrzeszczało. I wie pani, co powiedział? Nam nie wolno tak mówić. Zaczyna się na „ch” i kończy na „a”.

- Melody!

- Ciociu, ja nie kłamię. Naprawdę tak mówił. A potem zaczął krzyczeć: „Hope! Hope!”. Jak wujek ma kłopot, to zaraz woła ciocię.

Eddie powiedział, że wujek musi jeszcze raz pokazać, bo było za szybko. A wujek: „Idź po ciotkę”. - Melody ponownie wytarła nos.

- A jak ciocia przyleciała, to już wszystko było dobrze. Tak było.

- Dziękuję ci, dziecko. Bardzo ładnie opowiedziałas - rzekła pani Latimore z uznaniem. - Rozumiem, że moja córka doskonale sobie poradziła. Ciekawe.

- Ciocia zawsze sobie radzi - zapewnił Eddie. - Jest naszą gosposią, a to strasznie trudna praca.

- O, słyszę, że nadjeżdża moja druga córka.

- Już? - Hope wytarła ręce o fartuch. - Dzieci, usuńcie się z drogi! - krzyknęła, wybiegając.

W tej samej chwili z piętra zeszli czterej panowie z łóżkiem.

- Już go przywieźli - poinformowała tragarzy. - Co mu jest? - spytała, gdy stanęła koło samochodu.

- Nic poważnego. - Becky uspokoiła siostrę i serdecznie ją ucałowała.

- Co pani wie! - zrzędlawie mruknął chory.

- Nie krytykuj mojej siostry - syknęła Hope. - Jest chyba najlepszą lekarką w całej Ameryce Północnej. I nie narzekaj, bo sam sobie jesteś winien! Gdybyś nie popisywał się przed dziećmi, nie połamałbyś nóg.

- Jakie serdeczne powitanie. Tylko tego mi brakowało do pełni szczęścia.

- Ja... - Hope zająknęła się i zamilkła.

- Nie wniesiecie mnie do domu? - gderał dalej Ralph.

- Niech pan weźmie na wstrzymanie i przestanie wreszcie marudzić - skarciła pacjenta Becky. - Złamał pan jedną nogę, a nie cztery kończyny. Lekarze nie są od noszenia pacjentów. Hope - groźnie spojrzała na siostrę - dlaczego według ciebie CHYBA jestem najlepszą lekarką?

- Zawołam tragarzy - mruknęła speszona Hope i uciekła do domu. - Panowie, pospieszcie się - krzyknęła, wpadając do bawialni. - Chory czeka!

- Dopiero co przysiadłem - rzekł ojciec, ciężko dysząc. Nikt nie ruszył się z miejsca.

- Mama jest w kuchni.

Wszyscy natychmiast wstali.

Godzinę później w domu panował już względny spokój. Pomocnicy, z wyjątkiem Alfreda Pleasantona, odjechali. Dzieci leżały w łóżkach na piętrze, Ralph drzemał w łóżku na parterze. Hope i Alfred siedzieli w bawialni pod oknem.

- Po co przyjechałeś? - szeptem zapytała Hope, nerwowo zaciskając dłonie.

- Jak by to powiedzieć... - Alfred zaśmiał się nieprzyjemnie. - Wiesz, przyjęto mnie z powrotem do Latimore Incorporated. Twój brat powiedział, że potrzebuje siłaczy, więc... się zaofiarowałem.

- Dlaczego nie odjechałeś razem z nim?

- Nie spieszy mi się do domu. Myślę, że powinniśmy przedyskutować jedną sprawę,

- Czyżby?



- Jesteś śliczna, moja mała. - Pochylił się do przodu, - Naprawdę śliczna.

- O tym nie będziemy dyskutować - oświadczyła Hope zdecydowanym tonem. - Niedawno powiedziałam ci, że...

Zerwała się jak oparzona, gdy Alfred schwycił ją za rękę.

- Należysz do mnie - rzekł półgłosem.

- Puść mnie! - krzyknęła i uderzyła go pięścią w ramię.

- To było nieporozumienie - ciągnął nie zrażony. - Wyrzuć ten incydent z pamięci i zacznijmy od nowa. - Pochylił się, jakby chciał ją pocałować.

- Nie waż się!

Alfred puścił ją, więc się odsunęła.

- O ile dobrze pamiętam, chciałeś, żebyśmy się przespali, a to odpada.

- Nieprawda! Nie tylko o to chodziło.

- Prawda.

- Była mowa o ślubie, więc nic dziwnego, że chciałem się trochę zabawić.

- Czy uciekanie się do przemocy to zabawa?

- Jeśli obie strony się zgadzają, wszystko jest zabawą.

- Ale ja się nie zgodziłam.

- Bo nie wiesz, jak to jest. Spodoba ci się.

- Pewnie tak, ale z mężem.

- Ja miałem nim być - przypomniał chełpliwie. - Teraz mamy okazję zrobić próbę.

- Spóźniłeś się. Jestem zaręczona - oświadczyła niespodziewanie Hope, przekonana, że Ralph śpi.

- Żarty sobie stroisz. - Alfred pogardliwie wydał usta. - Z takim liliputem?

- Pod wieloma względami przewyższa cię o głowę. Alfred zmienił się na twarzy.

- Nie wierzę. I liczę na to, że coś dzisiaj dostanę.

- Uważaj, bratku, żebyś się nie przeliczył!

Oboje gwałtownie się odwrócili. Ralph leżał wsparty na łokciu, uśmiechnięty.

- Kochanie, myślałem, że na razie chcesz nasze zaręczyny zachować w tajemnicy. Kim jest ten przyciężki drażal?

- A...Alfred - wykrztusiła Hope - ...Pleasanton, który...

- Pamiętam - przerwał jej Ralph. - Siądź tu koło mnie. Hope natychmiast go posłuchała, a Alfred nadał się jak indor.

- I tak zrobię, co zechcę. Pan mi nie przeszkodzi.

- Wujku? - odezwał się dziecięcy głos za ich plecami.

W drzwiach stał Eddie. Korzystając z tego, że Pleasanton się odwrócił, Hope zerknęła na bok i kątem oka dostrzegła pogrzebacza. Przyda się!

- Wujku, to chciałeś?

- O tak, bardzo ci dziękuję.

Hope nie rozumiała, o czym mówią. Patrzyła to na pogrzebacza, to na Alfreda, który poczerwieniał jak burak i chyłkiem wycofywał się z pokoju.

- Ja tylko żartowałem - zapiszczał olbrzym ciekim głosem i podniósł ręce do góry.

- Taki zabawny żart, że od śmiechu noga mnie boli - powiedział Ralph z bezbrzeżną pogardą.

Hope obejrzała się zaintrygowana. Eddie i Ralph uśmiechali się szyderczo. Ralph trzymał w ręce rewolwer.

- Enem... gdzie...? - bąkał Pleasanton.

- Musiałem iść do łazienki i wszystko słyszałem - szepnął Eddie wujkowi na ucho.

- Czy jest...?- zaczął Alfred.

- ...naładowany? Oczywiście.

Ralph odciągnął cyngiel, a Hope podskoczyła do kominka i złapała pogrzebacz.

- Alfred, nie widzisz, że nic tu po tobie? - spytała z gryzącą ironią. - Dziękujemy za pomoc przy przeprowadzce...

- ...ale zabraniamy tu przyjeżdżać - dokończył Ralph.

- Tak. Ehem... tego... nie pamiętam, gdzie zostawiłem płaszcz.

- Nie szkodzi - ostro rzuciła Hope. - Zamknij drzwi z drugiej strony.

Rex podszedł do nieproszonego gościa i wyszczerzył kły.

- Cholera - zaklął Pleasanton, i już go nie było.

- Odjechał w pół minuty - powiedział Ralph, patrząc na zegarek.

- Doskonały czas jak na takie byczysko,

Hope drżała, ale wciąż kurczowo trzymała pogrzebacz.

- Boję się pistoletów - szepnęła. - Naprawdę jest nabity?

- Nabity? - Ralph roześmiał się na całe gardło i wymienił znaczące spojrzenie z Eddiem. - Kto trzyma nabitą broń w zasięgu ręki dziecka? Eddie, wracaj do łóżka.

- Ale wujku, on jest.

- Idź, synu. Spisałeś się tak, że jestem z ciebie dumny.

- Ale to... - Eddie wreszcie zrozumiał znaki, dawane przez wujka. - Już idę. Ja też jestem z siebie dumny. Dobranoc.

Hope ostrożnie, krok za krokiem, podeszła do łóżka, cały czas podejrzliwie patrząc na broń.

- Jesteś pewien, że nie jest nabity?

- Zobaczymy. Widzisz ten srebrny puchar przed lustrem?

Odwróciła głowę i w tym momencie usłyszała trzask.

Spodziewała się huku, dymu. Zerknęła przez palce, którymi zakryła oczy i zobaczyła, że puchar ocieka wodą.

Ralph pokładał się ze śmiechu.

- Widzę, że Eddie nie pochwalił się, co dostał na Gwiazdkę - wykrztusił, gdy nieco się opanował.

- Pistolet wodny? Alfred miał minę... Ach, ty! Tak mnie nabrać! Powinnam przyłożyć ci pogrzebaczem.

- Tylko nie uderz mnie w nogę - błagał Ralph. - Wiesz, ten puchar to moja największa nagroda. A teraz zardzewieje.

- Nie zagaduj mnie pucharem - syknęła.

- Jak możesz mówić do mnie takim tonem? - spytał cicho. - Nie zapominaj, że jesteśmy zaręczeni. Niedługo ślub.

- Że co proszę?

- Powiedziałaś Afredowi, że się zaręczyliśmy.

- To... był... wykręt. - Oczy Hope zaczęły ciskać błyskawice. -  
Żeby odwrócić jego uwagę od...

- Nie odwracaj kota ogonem. Pogroziła mu pogrzebaczem.

- Wrócił ten duży pan i wujek go zabił? - rozległo się nieśmiałe pytanie.

W szparze uchylonych drzwi widniały trzy głowy - Eddiego, Melody i Rexa.

- Nie, nic z tych rzeczy. - Ralph wybuchnął gromkim śmiechem.

- Ten dzielny pan uciekł, gdzie pieprz rośnie. Wystrzeliłem na wiwat. A wy, co robicie tu tak późno?

- Chcieliśmy zobaczyć, co wy tak późno robicie - pisnęła Melody. Hope bez współczucia patrzyła na Ralpha, któremu zabrakło refleksu, by skarcić siostrzenicę.

- Wiecie... My... Chcieliśmy uczcić to, że... że ciocia i ja postanowiliśmy się pobrać. Co wy na to?

- Hurra! - krzyknął Eddie, obejmując Hope.

Melody podbiegła do wujka, rzuciła mu się na szyję i rozplakała rzewnymi łzami.

- Myślałem, że chcesz, żebym ożenił się z ciocią. Kotku, dlaczego chlipiesz?

- Bo... bo... - Melody piąstkami otarła oczy. - Jak się ożenisz, to zamówisz sobie dzieci i już mnie nie będziesz kochał. Buuuu! Nie będziesz moim... moim ukochanym wujkiem.

Ralph przytulił ją i pogłaskał po główce.

- Do końca świata będę waszym wujkiem. Eddie to rozumie, prawda, chłopcze?

- Tak. - Eddie mocniej objął Hope. - Ciociu, mam prośbę. Naucz moją mamę robić pizzę, dobrze?

- Na pewno nauczę - obiecała Hope, całując go w czoło.

- A teraz, moi mili, chcę odpocząć. Ciocia zaprowadzi was do łóżek, a potem przyjdzie opowiedzieć mi bajkę na dobranoc.

Hope odprowadziła rozgadane dzieci, lecz nie słuchała, co mówią. Zastanawiała się nad poważną rozmową, jaka ją niewątpliwie czekała. Zanim Zeszła na parter, wstąpiła do sypialni, aby nieco się upiększyć. Myślała o tym, co Ralph powiedział i co przemilczał. Przygotowała się na to, że tego wieczoru przedyskutują zaręczyny. Do omawiania ślubu chyba nie zdążą dojść. Do ślubu? Jeszcze rano uznałaby to za pomysł ściętej głowy.

Kiedy weszła do pokoju, Ralph potężnie chrapał. Delikatnie poprawiła mu poduszkę i chrapanie ustało. Tego sposobu nauczyła ją matka. Nie powiedziała jednak córce, jak należy czuwać przy chorym. Hope skuliła się w rogu kanapy i wróciła do swoich rozważań. Miała dwadzieścia cztery lata. Czy to nie za wcześnie na małżeństwo? Siostry były dużo starsze, gdy wychodziły za mąż. Ciekawa była, czy jest jakieś prawo zabraniające małżeństwa przed ukończeniem dwudziestu pięciu lat.

Poszła do kuchni, aby wziąć sobie kawałek pizzy. Po powrocie do bawialni bacznie przyjrzała się śpiącemu. We śnie Ralph wyglądał jak wyrosnięty Eddie, a przecież nie był jego ojcem.

Eddie i Melody to były „pożyczone” dzieci. Traktował je bardzo dobrze, ale nie wiadomo, czy dla własnych pociech też miałby tyle cierpliwości. Dla naszych maleństw, poprawiła się, zdumiona tym odkryciem.

Rzuciła dwie poduszki na chodnik przed kominkiem i zasnęła, ledwo się położyła.

RS

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Mijały tygodnie. Z każdym dniem Ralph Browne coraz wyraźniej zmieniał się z pogodnego pacjenta w zrzędliviego pracodawcę. Im lepiej się czuł, tym gorzej zachowywał.

Śnieg powoli topniał, aż któregoś dnia zniknął zupełnie.

Chory kuśtykał o kulach po domu, a Hope żałowała, że jego łóżko nie stoi na poddaszu.

Pewnego pięknego dnia wyjątkowo ją rozzłościł. Zagniatając ciasto na chleb, zapomniała, że nie jest sama i mruzczała pod nosem słowa, nie nadające się dla uszu trzyletniego dziecka.

- Kiedyś go zamorduję - powiedziała nieco głośniej.

- Ciocia chce zabić wujka?

- Czasem mam ochotę.

- A ja go bardzo lubię.

- Mnie by też odpowiadał, ale jako baran upieczony na rożnie i polany sosem.

Ledwo skończyła mówić, zaproponowane właśnie danie po raz setny tego ranka przykuśtykało do kuchni.

- Hope, gdzie się podział mój srebrny puchar?

- Ustrzeliłeś go z pistoletu wodnego.

- To moja największa nagroda.

- A moje najmniejsze zmartwienie. Strzeliłeś w niego i wpadł do kominka.

- Szukałem, ale nie znalazłem.



- Wujku, uważaj! - przeraźliwie krzyknęła Melody. - Ciocia chce cię zamordować. Pobić na śmierć!

- Nie, skarbie, źle zrozumiałaś - uspokoił ją Ralph. - Ciocia ma zamiar mnie poślubić, a nie pobić.

- Czasem na jedno wychodzi - wyrwało się Hope.

- Na śmierć - upierała się Melody, skacząc wokół nich na jednej nodze. - Zamorduje. Powiedziała, że zabije.

- Melody, przestań! - nakazała Hope.

- Ale ciocia tak mówiła.

- Wyrwało mi się, ale wcale tak nie myślałam - usprawiedliwiała się Hope. - W złości mówi się różne rzeczy. Idź do swojego pokoju i odrób lekcje.

Dziewczynka pokazała język i wybiegła z obrażoną miną. Hope ostatnio nauczyła się, że nie wszystko należy widzieć. Teraz więc udawała, że nie zauważyła wysuniętego języka.

- Jakie lekcje? - zdziwił się Ralph. - Przecież ten berbecz jeszcze nie chodzi do szkoły.

- Wiesz, jaka jest największa różnica między nami? Otóż ty nigdy nie byłeś dziewczynką.

- Święta prawda, ale co z tego?

- Tylko to, że wiem, co robię. Wmówiłam twojej siostrzenicy, że codziennie, przez godzinę, musi odrabiać pracę domową. No i odrabia te swoje lekcje - ogląda obrazki, rysuje, ale przede wszystkim jest cicho.

- Sprytnie to wymyśliłaś.

- Nie ja, tylko moja matka. Znalazła taki sposób na mnie, gdy miałam trzy latka.

- Nie buntowałaś się?

- Może, ale i tak przez całe życie uwielbiam mamę. Uważaj, jak idziesz! Co za łamaga!

- Cieszę się, że mnie nie ukatrupisz - mruknął Ralph, niezdarnie podchodząc do niej.

- Za wcześnie się cieszysz!

- Czyli zginę marnie?

- Najmarniej. Już teraz wiem, że jesteś nie do wytrzymania.

Jeszcze trochę, a będziesz gorszy od Alfreda.

- Chętnie utopiłabyś go w łyżce wody, prawda? - Ralph obrzucił jej twarz badawczym spojrzeniem. - Co między wami zaszło?

Dlaczego tak go nienawidzisz?

- Chciał się ze mną żenić... Przynajmniej tak powiedział mojej matce.

- A tobie?

- Chciał czegoś... no, wiesz. A ja się nie zgodziłam. Więc próbował użyć siły. Wybacz, ale nie mam najmniejszej ochoty o tym rozmawiać.

- To dlaczego twój brat go tu przywiózł?

- Bo nic nie wie. Bałam się mu powiedzieć, bo jak Michael wpadnie w furję... Nie chcę, żeby mój ukochany brat skończył w kryminale.

- A zatem mam wielkie szczęście, że mnie kochasz.

- Co? Ja ciebie?! - krzyknęła zgorszona.

- Nie wrzeszcz, kochanie. Fe, co za maniery.

- Ja cię kocham? Chyba coś ci się poprzestawiało. Kocham twoją siostrzenicę i siostrzeńca, ale żeby ciebie.

- Muszę zapytać dzieci, jak można się wkraść w twoje łaski.

Chciał zrobić następny krok, ale potknął się i niebezpiecznie zachwiał.

- O Boże! - krzyknęła Hope i wyciągnęła rękę.

Ralph bezwładnie opadł na nią. Przerazona podtrzymywała go z całych sił.

- Oprzyj się o mnie.

- Z przyjemnością - szepnął jej prosto do ucha.

Czuła jego gorący oddech i kołatanie własnego serca. Objął ją w talii i mruknął:

- Zaraz złapię równowagę.

Widocznie jednak miał z tym kłopot. Całym ciałem wsparł się na Hope, która stała jak skamieniała, zastanawiając się, do czego on zmierza. Niepotrzebnie udawała przed sobą, gdyż doskonale wiedziała, na co się zanosi. Przytrzymała go jeszcze mocniej. Ralph nachylił się i pocałował ją w usta. Ogarnęło ją uczucie niewysłowionej słodyczy i pragnienie nieznaney rozkoszy. Niestety, szczęście szybko prysło, ponieważ trzasnęły właśnie drzwi frontowe.

- Już jestem! - krzyknął Eddie w holu i nie rozbierając się, wpadł do kuchni.

Na progu stanął jak wryty.

- Wujek! Ciocia! Co robicie?

- Próbę chodzenia bez kul - warknął naburmuszony Ralph.  
- Uciekłeś z lekcji?  
- Ja? Co wujek? Ha, ha! - Eddie roześmiał się. - Wiem, co robicie. Migdalicie się. Ciociu, jestem głodny.

- Ten czort stale jest głodny, cholera by go - zaklął Ralph pod nosem.

- Wujek pośliznął się i musiałam go złapać, żeby nie upadł - wyjaśniła Hope. - Podaj mu krzesło.

- Już się robi. A teraz proszę o coś do jedzenia.

- Zaraz przygotuję ci kanapkę.

- A pizzy nie ma?

- Zlituj się, nie starcza mi czasu, żeby codziennie robić pizzę.

Mam w domu kalekę...

- Nie jestem kaleką - zaperzył się Ralph.

- Przepraszam. Wujek jest unieszkodliwiony...

Eddie i Ralph popatrzyli na nią błagalnym wzrokiem.

- Zrób coś dobrego na ząb - rzekł Ralph z przymilnym uśmiechem. - Sam chętnie bym co nieco przekąsił. Widzę, że ciasto już urosło.

- Z tego miał być chleb na jutro.

- Lepszy Wróbel w garści... - powiedział Ralph sentencjonalnie.

Hope załamała ręce i wypaliła:

- Nigdy nie wyjdę za mąż! I nie będę miała dzieci! Zapanowało grobowe milczenie.

- No, nie więcej niż dwoje - ustąpiła, czując, że Eddiemu sprawiła przykrość.

Niebawem pizza była gotowa.

- Ale urosła! - Chłopiec oblizwał się. -I jak pachnie! Szkoda, że moja mama nie umie takiej robić.

Hope postawiła pizzę na stole i powiedziała z powagą:

- Nie wolno tak mówić. Twoja mamusia długo i ciężko choruje. Kiedy wyzdrowieje... i kiedy rodzice wrócą, przekonasz się, że wszystko robi lepiej. Niech tylko wróci.

- Wiem - mruknął Eddie bez przekonania. - Niech ciocia już kroi. Może zjemy, zanim Melody przyleci.

Na schodach dał się słyszeć tupot.

- Co robicie? - Melody stanęła w drzwiach i pociągnęła nosem. - Pizza! Eddie, chciałeś zjeść moją porcję? Dla mnie nie zostawić ani kawałka?

- Nic nie chciałem - odparł brat czerwony jak burak.

- Ciociu, powinnaś go ukarać i nic mu nie dać!

- Nie kłóćcie się, bo pizza wystygnie - zażegnał spór Ralph.

Wieczorem dzieci grzecznie poszły spać. Hope przyzwyczała się do ustalonego rytuału kąpieli, bajek i pocałunków na dobranoc. Dopiero po spełnieniu tych obowiązków miała trochę czasu dla siebie. Ów wieczór nie stanowił wyjątku. Zmęczona zeszła na dół. Ralph leżał już w łóżku.

- Paskudnie się dziś zachowywałem - rzekł, uśmiechając się przepraszająco.

- Nie znam gorszej marudy i zrzędy - westchnęła. - Poprawisz się?

- Chyba będę musiał, bo w przeciwnym razie nie zgodzisz się na ślub ze mną. Mam rację?

- Rację masz, ale szansy na ślub żadnej. Nie wybieram się za męż... szczególnie za ciebie.

- Oj, dostałem kosza.

Nie zrażony zaprosił ją gestem do siebie. Hope mimo woli podeszła i usiadła obok niego. Ralph objął ją i spytał z serdeczną troską:

- Bardzo jesteś zmęczona? Oparła mu głowę na ramieniu.

- Trochę. Wstyd mi, bo mama wychowała pięcioro i nigdy się na nic nie skarżyła. Oczywiście, Becky i Mattie były prawie dorosłe i dużo pomagały, ale zawsze. Ja chyba nie mam tyle siły.

- To nie jedyny powód - stwierdził tonem znawcy. - Twoja matka miała ojca do pomocy, prawda?

- Oczywiście.

- Kochali się?

- Jasne. Nadal się kochają.

- Więc jak ty się zakochasz, też ci będzie lżej. Miłość nie tylko uskrzydla, ale i wiele rzeczy ułatwia.

- Nie wiedziałam. - Usiadła w kucki i oparła brodę o kolana. - Jak na człowieka, który nigdy nie był zakochany, dużo wiesz na ten temat.

- Dlaczego tak myślisz? Byłem zakochany wiele razy, począwszy od liceum.

- Nie kłam. Przecież wtedy cię znałam. - Zerknęła na niego zaintrygowaną. - Po czym poznawałeś, że jesteś zakochany?

- Różnie. Po pierwsze, gdy przytuliłem jakąś dziewczynę i było mi błogo. Jak teraz.

- To zwykle przyciąganie płci - rzekła Hope wyniośle.

I nagle uświadomiła sobie, że jest jej bardzo dobrze. W szkolnych czasach też nieraz tak z Ralphem siedziała, lecz nie pamiętała, co wtedy czuła. Czy to była miłość? Czy gdyby nie ów nieszczęsny bal, przeżyliby coś podobnego do miłości Romea i Julii?

- Nie zapominaj, że seks jest częścią składową miłości - dodał Ralph. - Istotną częścią.

- Alfred też tak twierdził.

- Nie chcę nigdy więcej słyszeć o tej kreaturze! Wiesz, ojciec mi raz powiedział, że niezawodny sygnał miłości jest wtedy, gdy się chce korzystać z tej samej szczoteczki do zębów.

- Faj! Obrzydliwe.

- To tylko przykład. Najlepszym dowodem są pocałunki. Jeżeli się z kimś całujesz i jego pocałunki są delikatne, serdeczne, dobre, to one najlepiej świadczą o miłości.

Jego pocałunki są takie! - zdumiała się w duchu.

- Chcesz sprawdzić? - dodał.

Przyciągnął ją do piersi i wargami delikatnie musnął jej usta. Miała wrażenie, że wpada w osobliwy trans. Przebiegł ją lekki

dreszcz. W zakamarkach pamięci kołatała się myśl, że pocałunek ma być czuły, wonny i słodki. Czuły był, lecz gdzie słodycz i zapach fiołków lub róż? Wyczuwała jakiś znajomy aromat... No tak! Pizza! Wszystko było: ciasto, grzyby, kiełbasa, ser...

- No i co? - szepnął Ralph.

- Może dodać trochę więcej przypraw?

Roześmiał się i pocałował ją w czoło. Drugi pocałunek był już bez zapachu pizzy, lecz mimo to wywołał rozkoszny dreszcz. Hope uznała, że tak widocznie musi być - raz wszystko, raz połowa.

Wolałaby jednak wszystko naraz.

- Jaki wniosek? - usłyszała gorący szept tuż przy uchu.

- Myślę, zastanawiam się właśnie, czy...

Nie dokończyła, ponieważ Ralph zamknął jej usta kolejnym pocałunkiem. Całował ją delikatnie, a jednocześnie powoli przesunął dłoń, aż położył na jej piersi. Hope usłyszała jakieś uporczywe dzwonięcie. Ostrzeżenie, czy po prostu dzwoniło jej w uszach?

Raptem przypomniała sobie zasady dobrego wychowania.

Uczono ją, że prawdziwa dama nie dopuszcza do podobnej sytuacji, lecz jeżeli już zło się stanie, ma odepchnąć śmiałka i wymierzyć mu policzek. Wiedziała, że powinna zachować się, jak na damę przystało, ale zbyt ją intrygowało, co będzie dalej. Ciekawość zwyciężyła.

Ralph nieoczekiwanie zachował się tak, że niemal doprowadził ją do łez. Otóż oderwał się od jej ust i odsunął. Siedziała ze zwieszoną głową, czując się jak porzucona marionetka.

- Co teraz o tym myślisz?



Odwróciła głowę i kilkakrotnie chrząknęła.

- Dlaczego milczysz?

- To... mnie... mi... nawet było ciekawe.

Nagle ogarnęła ją okropna złość na siebie, więc zerwała się na równe nogi, poprawiła suknię i kosym okiem popatrzyła na Ralpa.

-Masz ochotę na więcej?

- Więcej... ja... ty... - bełkotała speszona. - Idę spać, a ty powinienes...

- Rozumiem. Nie mogę dostać wszystkiego naraz. Może jutro zrobimy następną próbę?

- Może. - Pocałowała go w czoło i wybiegła.

- Nie uciekniesz mi! - zawołał Ralph głosem, w którym słycać było tłumiony śmiech.

Wbiegła do sypialni w podskokach i gdyby nie śpiące dzieci, zaczęłyby śpiewać. Zamiast tego, długo chodziła na palcach z kąta w kąt, omijając Rexa, śpiącego na środku pokoju.

Obudziła się o szóstej, ponieważ dzwonek koło łóżka Ralpa dzwonił jak mosiężny dzwon. Na oślep wyskoczyła z łóżka, po omacku znalazła pantofle i bez tchu zbiegła na dół. Ralph siedział oparty o poduszki.

- Dlaczego robisz taki raban?

- Bo nie mogę znaleźć modemu.

- Co to za zwierz?

- Nie żaden zwierz, ty ignorantko. To ważny dodatek do komputera. Bez niego nie mogę korzystać z kabla telefonicznego.

- Coś ci powiem, ty despoto. Jest dopiero szósta, dzieci jeszcze śpią i mnie też jeszcze należy się trochę snu. Dlaczego tak wcześnie musisz gdzieś dzwonić?

- Dlatego, moja pani, że chcę się żenić. A żeby się ożenić, muszę więcej zarabiać.

- Najpierw powinieneś znaleźć ofiarę, która zechce wyjść za takiego tyrana. - Z jękiem opadła na najbliższe krzesło. - O tej porze chcesz jakąś złowić?

- Każda pora jest dobra. Ale nie ruszam na łowy, bo już znalazłem kandydatkę.

Wiadomość ubodła ją do żywego. Znalazł kandydatkę zaledwie kilka godzin po tym, jak dostał kosza! Zbierało się jej na płacz, więc zacisnęła pięści, powtarzając sobie: Nic mnie to nie obchodzi. Niech sobie znajdzie i sto...

- Podaj mi telefon - zażądał Ralph. -I rozejrzyj się, bo może zauważysz, gdzie ten przekłety modem się zawieruszył.

- Sprawdź, na czym siedzisz - doradziła, uśmiechając się ironicznie.

Ralph poczuł, że coś go uwiera w pośladek. Modem! Wziął telefon do ręki.

- Jasny gwint! Zapomniałem numer do twojego brata. Popatrzyła na niego z pogardą dla jego kiepskiej pamięci.

- Chcesz rozmawiać z Michael'em?

- Nie. Na pewno jeszcze chrapie.

- Widzę, że go nie znasz. Ani mojego ojca. Albo jeden, albo drugi zawsze leci do pracy o piątej. Gdyby nie matka, najchętniej spaliby w biurze.

Ralph nacisnął kilka klawiszy.

- Twoja siostra zadzwoniła wczoraj z Sudanu, bo ma kłopoty i nie może sobie poradzić. A ja migiem znalazłem rozwiązanie.

- Pracowałeś w nocy?

- Dlaczego nie? Noga tak rwie, że nie mogę spać. No, możesz odstawić maszyny na swoje miejsce.

- Jestem sługą czy co?

- A teraz - skinął na nią palcem - proszę tutaj.

- Ani mi się śni - obruszyła się - Gdybym była w Sudanie...

- Nie gdybaj. - W oczach Ralpha błysnęły wesołe chochliki. - Nawet stado słoni by cię tam nie zaciągnęło.

- Uważasz, że jestem tchórzem podszyta? Pomyłka. Nie boję się ani Sudanu, ani ciebie. A słoni tylko trochę.

- Skoro jesteś taka odważna, siadź tu przy mnie blisko. Rozsądek podpowiadał jej, by nie posłuchała, ale stopy same doprowadziły ją prawie do wskazanego miejsca. Najwyższym wysiłkiem woli zatrzymała się o krok od łóżka.

- Patrz mi prosto w oczy - rozkazał Ralph - i słuchaj, co powiem. Musisz wyjść za mnie. To postanowione i nie ma odwołania - dodał uwodzicielskim szeptem.

- Patrzcie go, postanowił - przedrzeźniła go. - Łaskawie pozwalam ci postanowić, co zjesz na śniadanie.

- Miejsze trochę wstydu, dziewczyno! - Ralph dziwnie się uśmiechnął i oblizał wargi. - Chyba nie pójdziesz do kuchni w takim stroju?

Hope powoli spuściła wzrok. Światło padające przez okno za jej plecami prześwitywało przez cienką nocną koszulę i uwydatniało ponętne kształty. Koszula była nie tylko przezroczysta, ale i bardzo skąpa: do kolan i z dużym dekoltem, odsłaniającym powabne, pełne piersi.

- Niech cię piekło pochłonie! - rzuciła mało pobożne życzenie i wypadła do kuchni.

Ledwo okręciła się olbrzymim fartuchem, usłyszała stukanie kul i do kuchni wszedł podejrzanie uśmiechnięty inwalida. Hope zamarła na środku kuchni, natomiast Ralph jakby nigdy nic usiadł za stołem.

- Dawno tak się nie namordowałem - rzekł, ciężko wzdychając. - Ale jestem dumny, że mi się udało. Życie niesie same kłopoty, prawda?

- Większość sami sobie stwarzamy - filozoficznie stwierdziła Hope.

- Kawa już gotowa?

- Za moment. Zjesz naleśnika?

- Pewnie. I kielbasę. I ze trzy grzanki.

- Nie przesadzasz?

Zabrała się do smażenia w chwili, gdy zadzwonił telefon.

- Tak, jestem przy telefonie - powiedział Ralph. - Depesza? Skąd? Z Departamentu Stanu? Chyba pomyłka, bo nikogo tam nie znam. Dobrze, dobrze, proszę czytać, a kopię przesłać pocztą.

Hope obejrzała się przez ramię. Ralph patrzył przed siebie podejrzenie błyszczącymi oczami. Łzy? Przecież mężczyźni nie płaczą.

- Zła wiadomość? - spytała cicho.

- Eloise... moja siostra. I szwagier.

- Rodzice Melody i Eddiego?

- Tak. Psiakrew, to niemożliwe. - Uderzył pięścią w stół.

- Harry wykupił trzymiesięczne wczasy w Sanjeet, żeby Eloise naprawdę wyzdrowiała. Jeziora w dolinie Sanjeet są podobno najpiękniejsze na świecie, ale to przygraniczny, niespokojny teren. Wybrali się na wycieczkę, żeby zobaczyć jeziora z lotu ptaka. Samolot uprowadzono i zmuszono pilota do lądowania. Szesnastu turystów, łącznie z moją siostrą i szwagrem, wzięto jako zakładników. Ledwo Eloise trochę wydobrzała, takie przeżycia! Głowę dam, że nie wrócą na Wielkanoc. Co ja powiem dzieciom?

Hope wpatrywała się w niego przerażonym wzrokiem.

- Nie mam pojęcia - szepnęła. - Melody w ogóle lepiej nic nie mówić. Eddie jest starszy, ale też radzę poczekać, aż sam zapyta o rodziców. Po co go niepokoić?

- Nie mają żadnych krewnych, więc muszą zostać u mnie. Co ja pocznę? Sam na dłuższą metę nie dam sobie z nimi rady.

Sięgnął po wystygłą kawę, lecz się rozmyślił i wstał.

- Ja ci pomogę - wspaniałomyślnie zaproponowała Hope.

- Nic mnie nie goni i nigdzie nie muszę się spieszyć. Mogę się nimi zająć. - Jeśli mi pomożesz, dodała w myśli. - Dokąd i po co idziesz?

- Nie wiem, ale muszę przemyśleć to w samotności. Zajmij się dziećmi.

- Przecież stale to robię!

Widziała, że z trudem wstaje, lecz nie ruszyła się z miejsca.

Ralph od początku nie życzył sobie pomocy. Chciał być w miarę samodzielny. Nagle przyszła jej do głowy pewna myśl.

- Ralph?

- Co?

- Trzeba zdobyć więcej informacji.

- Dobrze by było, ale jak? Mam wysłać detektywa? Szpiega?

- Nie kpij sobie. Latimore Incorporated ma doświadczenie w takich sprawach, bo kiedyś w Iranie kilku naszych pracowników wzięto jako zakładników. Nasza spółka jest światowym gigantem.

- Nasza?

- Oczywiście, bo wszyscy mamy udziały. Wiem, że nasi ludzie są w Pakistanie, Nepalu, Bóg wie, gdzie. Więc może i w Sanjeet.

Warto sprawdzić.

- Racja. - Ralph usiadł i przesunął telefon w jej stronę. - Do kogo zadzwonisz?

- Z pominięciem wszystkich pionków zadzwonię do władzy najwyższej, czyli do mamy.

Mary Kate Latimore ucieszyła się, że słyszy córkę.

- Jest u mnie Becky. Wybiera się też do was, bo chce prześwietlić tego twojego pacjenta. Ale nie w tej sprawie dzwonisz, prawda?

- Zgadłaś, mamusiu.

Hope pokrótce wyjaśniła, dlaczego dzwoni.

- Jeśli dobrze rozumiem, chcesz, żebym ruszyła tryby maszyny.

Co Michael na to powie?

- Mamuś, wiem, że jak go odpowiednio podejdziesz, zrobi wszystko, o co poprosisz. Przecież to twój pupilek.

- Nie bądź złośliwa. Jak ci ludzie się nazywają?

- Harry i Eloise Jakowscy. Czy możesz... ?

- Oczywiście, że mogę sprawdzić. Jestem prawie pewna, że ktoś od nas tam pracuje. A jak czuje się pan Browne?

Hope ściszyła głos.

- Nieźle. Jest okropnym pacjentem, ale wspaniałym wujkiem.

Czy pamiętasz go z moich szkolnych lat?

- Doskonale, jakby to było wczoraj. Był moment, gdy miałam ochotę zrobić mu coś złego, wiesz dlaczego. Ale na szczęście przyszedł, by grzecznie i rozsądnie wszystko wyjaśnić. Bardzo miły młody człowiek.

- Macie sekrety? - zapytał Ralph. - Więc idę na świeże powietrze.

- Dobrze.

- Co dobrze? - zdziwiła się matka.

- Mówiłam do Ralpha, który poszedł na werandę.
- Zadzwoiłaś tylko w sprawie tych zakładników?
- Nie, mam. Mam jeszcze pytanie.
- Słucham.
- Ralph chce się ze mną ożenić. Co ty na to?
- Jesteś dużo młodsza niż siostry, gdy wychodziły za mąż. I ja też byłam starsza, gdy stanęłam przed ołtarzem. A ty sama, co o tym sądzisz?
- Nie wiem - odparła Hope z wahaniem. - Czasami się go boję.
- Dlaczego? Bierze się do rękoczynów?
- Nie, niezupełnie. Ale... całuje mnie i... i mówi tak jakoś... I lubi mnie obejmować.
- Kochana, w małżeństwie to wszystko jest przyjemnością. Bardzo dużą. Powiadasz, że ma dobry kontakt z dziećmi?
- Doskonały.
- Ty też lubisz dzieci, prawda?
- Tak.
- Wiesz co, serce? Zabiorę się z Becky. Ona z pacjentem porozmawia o prześwietleniu, a ja z tobą o małżeństwie. Odpowiada ci?
- Jesteś najlepszą mamą pod słońcem - szepnęła, Hope. - Chyba się popłaczę.
- Trochę łez nigdy nie zaszkodzi. Dobre dla oczu. Do zobaczenia za godzinę.
- Czego się dowiedziałaś? - zapytał Ralph od progu.



- Mama się tym zajmie.  
- I dlatego spociły ci się oczy? Hope fartuchem otarła łzy.  
- Nie. Mama powiedziała.  
- Radzę ci iść się ubrać - rzekł Ralph, przyglądając się jej z rozbawieniem. - Chociaż ja osobiście bardzo lubię kobiety w przezroczystych i skąpych koszulach.

Hope zaczerwieniła się.

- Mama uważa, że jesteś bardzo miły. Nie rozumiem, na jakiej podstawie.

Przecisnęła się obok niego i pomknęła na górę, mamrocząc coś pod nosem.

- Co tu jest do rozumienia? - zdziwił się Ralph. - Przecież jestem wyjątkowo miłym człowiekiem.

W sypialni Hope podeszła do lustra, surowym wzrokiem popatrzyła na swoje odbicie i pogroziła sobie palcem.

- Panno Latimore, proszę zapamiętać raz na zawsze, że w tym domu nie będzie więcej łez. Zrozumiano?

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Po pewnym czasie, słysząc, że zajeżdża samochód, poszła do łazienki, aby opłukać twarz i nieco się poczesać.

- Zapamiętaj sobie - powiedziała, patrząc w lustro - że więcej nie będziesz płakała. Raz wystarczy. Słyszysz?

Głowa w lustrze skinęła na znak, że słyszy i rozumie.

Zadowolona Hope zbiegła na parter, aby powitać matkę.

- Po co pędzisz jak na złamanie karku? - spokojnie zapytała pani Latimore. - Oni już pojechali do szpitala.

Hope serdecznie ucałowała matkę.

- Napijesz się kawy? Przepraszam, że wszędzie jest bałagan. - usprawiedliwiała się, zawstydzona - ale dzieci dopiero zjadły śniadanie i...

Zadzwonił minutnik. Na schodach rozległ się tupot dziecięcych stóp. Hope podała Eddiemu kanapki do szkoły.

- Dziękuję. Do widzenia, ciociu. - Chłopiec złapał torebkę z kanapkami, pocałował Hope w policzek, uklonił się pani Latimore i wypadł za drzwi.

- Eddiego mamy z głowy - szepnęła Hope. - Została jednak Melody.

Dziewczynka zeskoczyła z trzeciego stopnia wprost w rozpostarte ramiona Hope.

- Ciocia już dobrze łapie. Ja ją nauczyłam - pochwaliła się z dumą.

- Ciocia kiedyś sama skakała ze schodów - powiedziała pani Latimore.

- Tylko dlatego, że ojciec doskonale mnie łąpał - uściśliła jej córka.

Weszły do kuchni. Pani Latimore i Melody usiadły przy stole. Dziewczynka wpatrywała się w gościa znad brzegu szklanki.

- Ona jest moją mamą - oświadczyła zdecydowanym tonem.

- A ja jestem jej mamą, wiesz? - rzekła pani Latimore z uśmiechem, który podbijał serca wszystkich dzieci.

Melody pokiwała głową.

- Każdy musi mieć mamę - orzekła po namyśle. Zerwała się, ponieważ zadzwonił minutnik. - Przepraszam, muszę odrobić lekcje. - I już jej nie było.

- Lekcje? - zdziwiła się pani Latimore,

- Ja też miałam zadawane i dobrze mi to zrobiło.

- Cieszę się. Całe szczęście, że ta mała musiała wyjść, bo przy niej nie mogłybyśmy swobodnie porozmawiać.

- Mamy tylko godzinę.

- Więc będę się streszczać. Najpierw najważniejsze, czyli uczucia. Widzę, że dzieci cię pokochały, a ty przy nich wydoroślałaś. Ta mała zawsze mówi na ciebie mama?

- Nie, od kilku dni. Nie wiem dlaczego, ale częściej jestem mamą niż ciocią. Czy to bardzo źle?

- To małe dziecko, więc zaadoptowało cię bez zastanowienia. Co będzie po powrocie matki?

- Nie wiem. Myślę, że to minie. Dla Eddiego jestem ciocią, a ona ma dopiero trzy latka.

- Nie winię ciebie, ale uważaj. Jeżeli starczy czasu, wrócimy do tej sprawy. Najpierw jednak zajmijmy się podstawowym tematem, dobrze? - Pani Latimore zaczerpnęła powietrza i zaczęła: - Dawno dawno temu do domu pewnej niskiej damy przyjechał pewien wysoki dżentelmen...

I opowiedziała o tym, jak Bruce Latimore zalecał się do Mary Kate Chase.

Hope niekiedy przerywała, wykrzykując:

- Niemożliwe! Naprawdę? Tak postąpił? Mamo, jak mogłaś? Dopiero teraz dowiedziała się szczegółów o tym, jak wdowa z dziećmi poznała swego drugiego męża.

- Więc się pobraliśmy - zakończyła pani Latimore. Zdążyła odpowiedzieć na kilka pytań córki, zanim zadzwonił minutnik. Melody zbiegła na dół, prosto do łazienki.

- Też lekcja. - Hope wtajemniczyła matkę i spytała przyciszonym głosem: - Radzisz mi za niego wyjść?

- Sama musisz podjąć decyzję. Każdy inaczej pojmuje miłość i małżeństwo. Ale jeśli się zdecydujesz, nie licz na to, że go zmienisz. Oświadczył ci się?

- Nawet kilka razy. -A ty?

- Nie dałam wiążącej odpowiedzi, ale jeśli jeszcze raz się oświadczy, przyjmę go.

Matka poklepała ją po plecach.

- Poczekacie, aż siostry wrócą do kraju? Na pewno zechcą być na twoim ślubie.

- Ślub? - rozległ się piskliwy głosik.

Panie obejrzały się zaskoczone, że nie słyszały, gdy Melody wyszła z łazienki.

- Ciocia się żeni?

- Kobieta wychodzi za mąż - sprostowała Hope. - Może. Ale to tajemnica, więc żebyś nie wypaplała. Szczególnie wujkowi. Czasami masz za długi język.

Melody wysunęła język, chcąc go zobaczyć.

- Za długi? Nie widzę. Ja nigdy nie paplę. - Zrobiła obrażoną minę. - Nic nikomu nie powiem. Ale ciocia nie wyjdzie za wujka Ralpha, prawda? Co teraz robimy?

- Chleb. Wujek uznaje tylko domowy chleb, jakby z piekarni nie był równie dobry.

- Hi, hi, wujek czasem jest taki śmieszny. - Melody spoważniała i z ciekawością przyjrzała się gościowi. - Pani jest jej prawdziwą mamą?

- Najprawdziwszą.

- To pani musi być moją babcią.

- Jestem babcią wielu dzieci - wymijająco odparła pani Latimore. - Hope, radzę ci uważać. Kiedy wróci...

- Wiem, ale... - Hope bezradnie rozłożyła ręce - Jak wyprowadzić ją z błędu? Nie mam pojęcia.

- W jakiej sprawie? - odezwał się głos z korytarza. Do kuchni wszedł Ralph o lasce, bez gipsu i kul.

- Wujek! - krzyknęła Melody i z całym impetem rzuciła mu się w ramiona. - Jesteś zdrowy?

- Chyba tak - odparł, zręcznie ją łapiąc.

- Tylko bez takich popisów - ostrzegła Becky. - Jeszcze przez kilka tygodni trzeba się oszczędzać. Mamo, wracamy.

- Jestem gotowa. Porozmawiałam sobie od serca z Hope i trochę z Melody. - Pani Latimore ociężale podniosła się z krzesła.

- Wiem coś! Wiem coś! - zawołała Melody. - To tajemnica i mogę powiedzieć tylko na ucho.

- Służę moim. - Ralph pochylił głowę.

- Nie, w żadnym wypadku! - przeraziła się Hope.

- Ciocia wychodzi za mąż!

Ralph zamarł. Spojrzał na Hope zimnym wzrokiem i spytał lodowatym tonem:

-Naprawdę?

- Naprawdę - zapewniła Melody, bardzo z siebie zadowolona.

- To my się pożegnamy - powiedziała pani Latimore. - Do widzenia.

- Tak się nie robi! - mruknęła Hope, idąc za gośćmi.

- Melody, brzydko się zachowałeś - skarcił siostrzenicę Ralph. - Nie wolno zdradzać tajemnic.

Po południu Hope położyła Melody i wróciła do kuchni. Słyszała, że Ralph nerwowo chodzi po bawialni. Trwało to tak długo, że zebrała całą odwagę i poszła zanieść mu filiżankę kawy.

- Dziękuję - rzekł, nie odwracając głowy. - Będzie mi... nam ciębie brakowało.

- Och! - jęknęła, opadając na najbliższy fotel.

- Tak długo byłaś, że przyzwyczailiśmy się do ciebie.

- Zwalniasz mnie z pracy?

- Ja? Zwalniam? Kpisz czy o drogę pytasz? Jak ty to sobie wyobrażasz? Że mąż pozwoli ci tu zostać?

- Co takiego?

- Nie udawaj, że nie rozumiesz. Za kogo wychodzisz? Za tego atletę, który tu był z twoim bratem?

- Za Alfreda?

Przekrzywiła głowę i popatrzyła na niego spod rzęs.

Zastanawiała się, czy taki obrót sprawy zabolalby go choć trochę. Na jego kamiennej twarzy nie drgnął ani jeden muskuł.

- Wolalabym iść do klasztoru, niż wyjść za Alfreda. Ralph przełknął z trudem i zapytał schrypniętym głosem:

- Znam... kandydata?

Hope nerwowo oblizala wargi i wzruszyła ramionami.

- Pochodzi z okolicy.

- To dobrze. Lepiej wiedzieć, z kim się ma do czynienia. Jego rodzinę też znasz?

- Trochę.

Ralph jakby mimochodem wziął gazetę i przewrócił kilka stron. Hope wstała, więc rzucił jej podejrzliwe spojrzenie i bez słowa wrócił do czytania.

- Idę przygotować kolację- mruknęła.

Nie mogła oderwać oczu od postaci pochylonej nad gazetą.

Ralph nie odzywał się, więc zacisnęła pięści i wyszła dumnie wyprostowana. Nie zdążyła dojść do kuchni, gdy w bawialni rozległ się łomot. Instynktownie pochyliła się, wciągając głowę w ramiona.

- Zleciał sufit? - zawołała drżącym głosem.

- Nie! - odkrzyknął Ralph. - Spadł... zegarek.

- Chyba stukilowy.

Niecierpliwie machnęła ręką i wyjęła zeszyt z przepisami.

Wszystkie potrawy były za trudne albo brakowało składników.

Jedynie, co mogła zrobić, to hamburgery.

Niebawem Eddie wrócił ze szkoły, ogłaszając swe nadejście przeraźliwymi wrzaskami czerwonoskórych.

- Jest tu jakaś blada twarz?! - krzyknął w holu.

- Cicho! - syknęła Hope. - Melody śpi.

- Wujek też? - szepnął Eddie, idąc na palcach.

- Chyba tak.

- Chce mi się jeść.

- Głodomorze! Tobie zawsze się chce. Zjadłeś kanapki?

- Wszystkie co do jednej. Czasem wymieniam się z kolegami, ale dziś były takie delicje, że zjadłem nawet okruszki. Co mógłbym teraz dostać?



- Weź sobie szklankę mleka i ciastko.

- Nie wiem, jak my żyliśmy bez cioci.

- Dziw, że nie poumieraliście z głodu.

Eddie wziął pół szklanki mleka i całą garść ciastek. Na odchodnym dał Hope czekoladowego buziaka.

- Dzieci mnie kochają - mruknęła, wycierając umazany policzek  
- a ich wujek powinien.

Chwilę później zadzwonił telefon. Błyskawicznie podniosła słuchawkę, aby uprzedzić Ralpha.

- Słucham?

- Dzień dobry pani. Mówi Peter Foster.

- Dzień dobry.

- Dostałem depeszę od naszego człowieka w Geetanie. Hope kaszlnęła zakłopotana, ponieważ nie wiedziała, gdzie leży Geetan. Z geografią zawsze miała kłopoty.

- Geetan jest w Sanjestanie - rzekł domyślny Peter.

- Ach tak. Proszę czytać.

- Mogę przeczytać, ale jest pisana tak dziwacznym szyfrem, że nic nie rozumiem.

- Może ja się domyśle.

Foster powoli podawał cyfry, które nic jej nie mówiły. Ożywiła się, gdy przeszedł do liter.

- T? N? H.L. - powiedział na zakończenie.

- Oddzwonię później. Czy Geetan Station to wiarygodne źródło?

- Jest tam nasz najlepszy człowiek. To ten, dzięki któremu zwolniono naszych zakładników w Iranie. Zaczekam na pani telefon.

- Ile mam czasu?

- Ile pani chce. Będę czekał choćby i do rana.

- Dziękuję.

Odłożyła słuchawkę i poszła do sypialni, aby w spokoju zastanowić się nad szyfrem. H.L. to oczywiście jej inicjały. A cyfry? Najniższa: jedynka, najwyższa: dwadzieścia dwa. Czyli prywatny kod rodzinny! Szyfr, który w dzieciństwie wymyśliła razem z Michaeliem. Nie wiedziała, kto jeszcze go zna, lecz nie miała czasu zastanawiać się, kim jest „nasz człowiek w Geetanie”. Rozwiązanie owej zagadki zostawiła na później i zabrała się do odcyfrowywania depeszy.

Stopniowo tekst ułożył się w zrozumiałą całość.

*„Przymusowe lądowanie szesnaście kilometrów od Geetanu. Pasażerowie żyją, ale kilku rannych. Jakowscy w dobrej kondycji. Porywacze ze szturmowej grupy byłych komunistów żądają miliona funtów szterlingów. Wszyscy zakładnicy są pracownikami Latimore Incorporated. Nie ufam porywaczom. Wezwać pomoc wojskową z Geetanu? Tak? Nie?”*

Hope z grubsza przeliczyła funty na dolary - milion sześćset tysięcy dolarów okupu. Z wrażenia na chwilę przestała oddychać. Prędko opanowała się i zeszła do bawialni. Ralph leżał na łóżku, zwinięty w kłębek.

- Wymyśliłaś jakąś nową sztuczkę? - spytał nieprzyjaznym tonem.

- Możesz i tak to nazwać. Odebrałam depeszę z Geetanu w Sanjestanie.

Zerwał się, prawie podbiegł i pochylił nad kartką.

- Tak nagryzmoliłaś, że nic nie mogę odczytać. Powiedz swoimi słowami, co tu jest napisane.

- Proszę bardzo. Znaleziono samolot. Zakładnicy, łącznie z twoją siostrą i szwagrem, żyją. Porywacze żądają miliona sześciuset tysięcy dolarów.

- Tyle pieniędzy! - krzyknął przerażony.

- Bywało, że płaciliśmy jeszcze więcej. Dwoje zakładników to twoi krewni, reszta nasi pracownicy. Latimore Incorporated ma swoje zasady. Dbą o pracowników i nigdy nie zostawia ich na łasce losu. - Uśmiechnęła się krzywo. - Może coś utargujemy, bo Geetan jest szesnaście kilometrów od granicy z Malikstanem. A my tam mamy bardzo ustosunkowanych znajomych. Uprzedzam, że Michael decyduje, ale wszyscy pozostali też mają coś do powiedzenia. No, jakie jest twoje zdanie?

- Moje zdanie? O czym ty mówisz?

- Z porywaczami nie przelewki. Albo im od razu zapłacimy, albo posyłamy wojsko. Albo też nic nie robimy i tym samym ryzykujemy, że nikt nie pozostanie przy życiu.

- Proponujesz powołanie własnej armii?

- Nie powołamy, a wynajmiemy. Już kiedyś tak zrobiliśmy.

Wolisz, żebyśmy zostawili niewinnych ludzi w rękach bezwzględnych bandytów i modlili się o cud?

- Przyznaję, że nie wierzę w skuteczność pobożnych życzeń, ale żeby zaraz armia...

- Decyduj się - przerwała mu ostro.

- Wiesz, myślałem, że jesteś słodką, delikatną kobietką.

- Bywam i słodka... Ale nie będę stać z założonymi rękoma, gdy matka Melody...

- Więc co zrobimy?

- Zadzwoimy najpierw do Michaela, a potem do ojca.

- A potem?

- Potem się zobaczy.

- Mogę cię pocałować?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo wychodzę za mąż - powiedziała głośno.

W myśli zaś dodała: jeżeli nie wiesz za kogo, to twoja strata.

Powiedz, że mnie kochasz, a pozwolę się pocałować.

Ralph, który nie zawsze umiał czytać w myślach, odsunął się, mruczając:

- A tak, zapomniałem.

- Zadzwoń do Michaela - poleciła sucho. Okazało się, że brat jest w Wenezueli.

- To dzwonimy do taty.

Rodziców też nie było, pojechali na Hawaje, na tygodniowy kongres prawników.

- Czy nikt z twojej rodziny nie może siedzieć w kraju?

- Becky siedzi, ale z niej nie będzie pożytku, bo już dawno temu wycofała się z zarządu. Czyli zostaję ja.

- Ty? - spytał Ralph z taką miną, że Hope poczuła się dotknięta.

- Wyobraź sobie. Jestem jednym z wiceprezesów. Daj mi telefon. - Wybrała numer i powiedziała głosem, w którym nie było cienia wahania: - Mówi Hope Latimore. Proszę przekazać naszemu człowiekowi w Geetanie, że odpowiedzią jest „T”.

Odłożyła słuchawkę bardzo zadowolona z siebie. Teraz Ralph miał tak komiczną minę, że roześmiała się serdecznie.

- Półtora miliona - szepnął. - Ot tak?

- Ot tak - powtórzyła. - Może uda się trochę obniżyć cenę albo spłacić ratami.

- Albo zażądają dwa razy więcej.

- Może, ale to nie twoje pieniądze, a chodzi o twoją siostrę.

Masz ochotę na kolację?

Drgnęły jej kąciki ust, gdy uświadomiła sobie komizm sytuacji: od rzucenia milionów porywaczom musiała przejść do wrzucenia czegoś do garnka. Przy takim przeskoku można stracić równowagę. W jednej chwili miliony dolarów, w drugiej prozaiczne hamburgery. Wszystko na jej głowie.

Przypomniała sobie sytuację sprzed siedmiu lat, gdy włączyła się w ruch na rzecz ochrony środowiska. Do białej gorączki doprowadzał ją projekt autostrady budowanej przez Latimore Incorporated, która miała biec przez Berkshires.

Pewnego dnia tak się zdenerwowała, że samowolnie zarządziła przerwanie robót. Potem ze strachu schowała się w szafie.

Ojciec wyciągnął ją stamtąd i powiedział bez gniewu:

- Udowodnij nam, że masz rację.

Wiele ją kosztowało, by stanąć w obliczu rodziców i Michaela, lecz spisała się dzielnie. Przedstawiła swój punkt widzenia w tak przekonujący sposób, że podtrzymano jej decyzję i zamiast autostrady, powstał szlak turystyczny.

Ponadto, w dowód uznania, mianowano ją kierownikiem biura do spraw ochrony środowiska. Najmłodsza latorośl Latimore'ów nie nadużywała władzy. Dopiero teraz skorzystała z posiadanych uprawnień.

Zadzwoił minutnik i na piętrze natychmiast zatupotały dwie pary nóg.

- Uważaj - szepnął Ralph, zaglądając Hope przez ramię. - Zamyśliłaś się, a hamburgery prawie czarne.

- Zamknij się - syknęła ze złością.

- Zamknij się! - powtórzył Ralph z przekąsem. - Czy to nie za mocne?

Pocałował ją w czoło i roześmiał się, gdy prychnęła zdegustowana.

- Bezcelność! - burknęła zagniewana. - Korzystasz z tego, że mam zajęte ręce...

Teraz pocałował ją w zaróżowiony policzek. Odepchnęła go łokciem, postawiła talerz na stole i podparła się pod boki.

- Uważaj, mój drogi! - To mówiąc, lekko uniosła prawą nogę. - Solidny kopniak w łydkę dobrze ci zrobi. Lekarz bardzo się ucieszy.

- Ja tylko żartowałem.

- Żeby mi się to więcej nie powtórzyło! Siadaj!

Ralph posłusznie usiadł. Eddie wbiegł do kuchni i przystanął zdziwiony.

- Dlaczego tu tak cicho? - zapytał.

- Wujek i ja przed chwilą... medytowaliśmy.

- To jak mówienie pacierza?

- Coś w tym guście.

- Co jest w guście? - zainteresowała się Melody, która dopiero teraz weszła.

- Zrobiłaś? - Hope odpowiedziała pytaniem na pytanie.

- Pewnie.

Dziewczynka wyciągnęła czyste, ale ociekające wodą ręce, które Hope wytarła fartuchem.

- Daj buziaka i siadaj przy stole.

- Dobrze, mamusiu.

Hope znacząco spojrzała na Ralpha, który zmarszczył brwi, lecz nic nie powiedział. Oboje lekko wzruszyli ramionami. Hope przytuliła dziewczynkę, ucałowała i posadziła przy stole.

- Hamburgery! - ucieszyła się Melody. - Mamuś, jesteś najukochańsza.

- Przecież to nie nasza mama - sprostował Eddie. - Nawet nie prawdziwa ciocia, tylko przyszywana.

Melody powoli odstawiła szklanę z mlekiem, ale wyglądała tak, jakby chciała rzucić nią w brata.

- Jesteś niedobry - powiedziała, wykrzywiając usta w podkówkę.

-To jest moja mama.

- Nie.

- Jest. Prawda, wujku?

- Hmm, jakby ci... Właściwie ja nic już nie wiem - rzekł Ralph z bardzo niepewną miną.

- Jesteś moją mamą, prawda? - zwróciła się Melody bezpośrednio do Hope.

- Ten twój wujek zawsze się wymiga... Wiesz, że wujek jest bratem twojej mamusi, prawda? Więc jeżeli on nie umie odpowiedzieć, to skąd ja? - Otarła łzę, wiszącą na rzęsach dziecka. - Ale jeśli bardzo chcesz, możemy się umówić na niby, że jestem twoją mamą.

- Widzisz? - Melody triumfalnie popatrzyła na brata. Chłopiec skrzywił się pogardliwie.

- Nic nie widzę. Moją nie jest. A jak jest tylko twoją mamą, a nie moją, to ja nie jestem twoim bratem. Jasne?

Odwrócił się od siostry i zajął hamburgerem, a nawet, o dziwo, schrupał kilka liści sałaty, czego nigdy dotychczas nie robił.

- To jest moja mama - oświadczyła Melody głosem nie znoszącym sprzeciwu. - Ja tak chcę! A jak ty nie chcesz być moim bratem, to nie. Nie, to nie. - Przy tych słowach żałośnie się rozszlochała.



Eddie zerwał się z krzesła i bełkotał coś niewyraźnie, póki nie przełknął jedzenia.

- Nie potrzebuję takiej siostry! - krzyknął zaczerwieniony i... też się rozplakał.

- Dobrze - chlupała Melody. - Nie potrzebuję brata. I wujka też nie potrzebuję. - Zsunęła się z krzesła, aby odejść od stołu.

- Co powinnaś powiedzieć? - groźnie zapytał odrzucony wujek.

- Przepraszam - mruknęła przez łzy i wybiegła nadąsana.

- Pójdę do niej - zaofiarowała się Hope. - Dziewczynkom potrzebna jest matka.

- Ciemny przesąd! - warknął Ralph. - Siedź! Przecież nie skończyłaś kolacji. Ja to załatwię.

- Ale żeby nie było klapsów!

Ralph powoli wstał, ocierając usta serwetką.

- Nigdy w życiu nie podniosłem ręki na żadną kobietę - powiedział na pozór spokojnie. - Ale jak jeszcze raz usłyszę coś podobnego, chyba zmienię obyczaje.

- Rety - szepnął przerażony Eddie.

- Co się z nami dzieje? - głośno zastanawiała się Hope po wyjściu Ralpa.

- Nic. Nie warto się martwić. - Eddie wytarł nos i przesunął krzesło w jej stronę. - Melody to jeszcze maluch. Niech ciocia nie płacze.

- Wcale nie płaczę - powiedziała, ocierając łzę spływającą z lewego oka.

Eddie uklęknął na krześle i objął ją za szyję.

- Wie ciocia co?

- Jeszcze nic nie wiem.

- Bardzo tęsknię za mamą i tatą. - Przytulił się mocniej.

- Melody chyba też. Tak długo ich nie ma.

- Rozumiem. Ja też tęsknię za rodzicami, gdy na dłużej wyjadą.

Ale zawsze wracają.

- Moi też wrócą?

- Oczywiście - zapewniła malca, chociaż miała wątpliwości.

- Jak Melody? - spytała wchodzącego Ralpa.

- Trochę popłakała, potem upierała się, że jesteś jej mamą, a wreszcie zasnęła.

- Ona jest dobra, ale jeszcze mało rozumie - orzekł Eddie.

- Wszystko będzie dobrze, jak mama wróci. - Wuj poklepał go po ramieniu. - Ale na razie ty musisz być jej podporą.

- Mogę, bo nawet ją lubię. - Przytulił się do Hope. - Ale ciocię wszyscy kochamy.

Ralph spojrzał na nią nieodgadnionym wzrokiem.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Po kapryśnym kwietniu nadszedł przepiękny maj. Na zielonych stokach mieniły się złotem kwiaty mniszka. Hope wietrzyła cały dom, oprócz poddasza. Tam niepodzielnie rządził Ralph, który nie pozwalał nic ruszyć, nawet otworzyć okna. Eddie i Melody rośli jak na drożdżach. Chłopiec miał miłe, pogodne usposobienie, natomiast jego siostra często marudziła. Chodziła za Hope krok w krok, a gdy zjawiał się ktoś obcy, kurczowo trzymała się jej spódnicy.

Drugiego maja doręczono Hope telegram z Geetanu z jednym tylko słowem: „Dziesiątka”.

Tydzień później był zwykły dzień: Ralph siedział u siebie i pracował nad wyjątkowo skomplikowanym zagadnieniem. Eddie poszedł na trening, a Hope odkurzała bawialnię. Nie usłyszała, że przed dom zajechał samochód. Dopiero gdy zadzwoniono do drzwi, wyłączyła odkurzacz i poszła otworzyć.

-Słucham panią.

Ujrzała nieco wyższą od siebie elegancką szatynkę o zmęczonej twarzy i smutnych oczach. Nieznajoma najwyraźniej się speszyła.

- Przepraszam, czy... - zająknęła się - czy to... zastałam pana Ralpa Browne'a?

- Tak - odparła Hope - ale w tej chwili jest bardzo zajęty. Surowo zapowiedział, żeby mu nie przeszkadzać. Nawet zamknął się na klucz...

- Rozumiem. - Nieznajoma zauważyła dziecko na schodach.

- Czy to Melody? - spytała drżącym głosem. - Kiedy ją ostatni raz widziałam, ledwo wyszła z pieluszek. Kochanie, chodź do mamy.

- Pani nie jest moją mamą! - krzyknęła dziewczynka. Podbiegła do Hope i schowała się za nią. - To jest moja mama.

- O Boże! - Hope położyła rękę na sercu. - Pani Eloise? Przybyła w milczeniu przytaknęła. Hope podała jej rękę, potem serdecznie uściskała.

- To nie moja mama - powtórzyła Melody, kurczowo trzymając się spódnicy Hope. - Nie jest! Nie!

- Cicho, kochanie. - Hope pogłaskała dziecko po główce.

- Przepraszam. Pani pozwoli, że się przedstawię. Jestem Hope Latimore, gosposia Ralpa. Proszę do środka. Jak się pani czuje? Na pewno jest pani śmiertelnie zmęczona.

- Ja dobrze, ale mój mąż... Nie obyło się bez szarpaniny i Harry'ego postrzelono w nogę. Dlatego prosto z lotniska w Logan pojechał do szpitala Deaconess w Bostonie. Nic poważnego, ale oczywiście lepiej zrobić prześwietlenie. A ja tak stęskniłam się za dziećmi, że pan Peter, zapomniałam jak się nazywa, wynajął mi samochód i przyjechałam prosto tutaj. Pani nazywa się Latimore? Pan Peter mówił, że ktoś z rodziny Latimore'ów dał okup. Czy to przypadkiem nie pani?

- Owszem - odparła Hope zła, że Peter Foster ma za długi język.  
- Ale tylko dlatego ja podjęłam decyzję, że akurat nikogo innego z rodziny nie było w kraju. Nie jestem najważniejsza wśród Latimore'ów.

- Nie zgadzam się. Dla nas jest pani najważniejszą osobą z całego rodu. - Eloise rozejrzała się. - A gdzie Eddie?

- Na treningu. Przyjęto go do pierwszej ligi dla maluchów i chodzi dumny jak paw. Przekona się pani. Zaraz powinien wrócić.

- To nie moja mama - cicho pisnęła Melody i głośniej dodała: - Ty jesteś moją mamą.

Hope usiadła w fotelu na biegunach i wzięła dziecko na kolana.

- Posłuchaj, rybko, coś ci wytłumaczę. To trochę trudne, ale taka duża dziewczynka powinna zrozumieć. Ja przyjechałam do was, kiedy twoja mama musiała wyjechać bardzo daleko. Teraz mamusia, właśnie ta pani, wróciła z podróży. Twój tatuś też przyjechał, ale jest w szpitalu. Niedługo pojedziesz z rodzicami do waszego domu. To naprawdę jest twoja mamusia, wierz mi.

Melody przytuliła się, włożyła palec do buzi i pokręciła głową.

- Same nic nie zdziałamy - rzekła Hope, patrząc na gościa - więc trzeba wezwać pomoc. Proszę nacisnąć biały guzik po lewej stronie.

- Ten?

- Tak.

Eloise nacisnęła guzik. W kuchni coś brzdęknęło i natychmiast w całym domu rozdzwoniły się dzwonki. Alarm zbudził Rexa, który zwałókl się z piętra, zwęszył obcą osobę, więc nastroszył sierść i warknął, ale niezbyt groźnie. Obwąchał Eloise ze wszystkich stron, po czym spokojnie usiadł obok i oparł łeb o jej stopy. Melody zdziwiła się, że pies zaakceptował obcą panią. Wyciągnęła palec z buzi, aby coś powiedzieć, lecz nie zdążyła. Do holu wpadł Eddie.

- Ciociu! - krzyknął na całe gardło - Strzeliłem gola... Stanął w progu jak wryty i wybałuszył oczy na gościa. Nagle twarz mu się rozpromieniła.

- Mama! - Z impetem rzucił się Eloise na kolana. - Nareszcie wróciłaś!

- Co on robi? - mruknęła jego siostra. - Chłopcy nic nie wiedzą.

- Kogo widzę? - rozległ się ciepły baryton. - Eloise, witaj. Tak się cieszę, że wróciłaś.

Ralph porwał siostrę w ramiona i zaczął tańczyć z nią po całym pokoju. Rex zerwał się, ujadając, a Hope uśmiechnęła się szeroko i usunęła z drogi. Eddie poczuł się, jakby odebrano mu jego prawa.

- To moja mama - zawołał z pretensją w głosie.

- Wiem, mój mały - rzekł wuj, przystając. - To twoja mama, ale jednocześnie moja siostra. - Serdecznym gestem zmierzwi! chłopcu czuprynę i odsunął się. - Proszę.

- Wcale nie mama-upierała się Melody.

- Skarbie - łagodnie zwróciła się do niej Hope - czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że można mieć dwie mamusie?

- Dwie, To dużo.

- Ale możliwe. Idź, uściskaj swoją pierwszą mamę.

Dziewczynka wyjęła palec z buzi i zsunęła się z kolan Hope.

- Pierwszą mamę? - powtórzyła.

- Salomonowe rozwiązanie - ucieszyła się Eloise. - Że też wcześniej o tym nie pomyślałam!

Wyciągnęła ręce i Melody, z radosnym okrzykiem, wskoczyła jej na kolana. Wszyscy zamilkli wzruszeni. Rex obserwował ich, merdając ogonem.

Po chwili Hope chrząknęła zakłopotana.

- Teraz chyba wszystkim dobrze robi...

- ...pizza! - dokończył Eddie z entuzjazmem.

- Że też wcześniej o tym nie pomyślałam!

Wyszła do kuchni, a za nią gęsiego wszyscy pozostali.

- Mniam, mniam. - Melody oblizwała się i poprosiła o trzeci kawałek pizzy.

- Niebo w gębie - pochwalił Eddie. - Nikt nie potrafi zrobić takiej pizzy jak... - urwał speszony.

- Masz rację - przyznała Eloise, biorąc drugą porcję. - Nic dziwnego, że Melody nie chciała zrezygnować z nowej mamy.

- Mamuś, naucz się od cioci - podsunął jak zawsze praktyczny Eddie. - Może byś wzięła kilka lekcji?

- Odpada - zaproponował Ralph. - Jeśli jeszcze nie wiesz, to niniejszym cię zawiadamiam, że ciocia i ja bierzemy ślub WET.

- Co znaczy WET? - spytała Melody.

- W ekspresowym tempie - wyjaśnił jej brat z mądrą miną.

- Nie rozumiem, dlaczego nie możemy.

- Bo nie będę dzielił się ciocią z wami. Koniec dobrego

- zawyrokował wuj bezapelacyjnym tonem. - Ta pani należy wyłącznie do mnie. Właściwie jest moja od naszych licealnych czasów, ale wtedy o tym nie wiedziała. Teraz już będzie na wieki.

- Myślałam, że wujek jest naj -najlepszy na świecie -  
powiedziała Melody. - A wujek mnie oszukał. - Zamyśliła się i po  
chwili dodała: -I tak nie będę mogła ściągać pizzy ze spiżarni, bo idę  
do przedszkola. Ale wujek jest brzydki.

Hope lekko kopnęła Ralpha pod stołem.

- Wyszło szydło z worka - mruknęła półgłosem. - Wyrachowana  
miłość. Dziedziczne w rodzinie?

- Po ślubie to ci nie ujdzie - odciął się Ralph. - Uważaj!

- Przecież jeszcze nie powiedziałam, że za ciebie wyjdę. Nie  
jestem taka głupia.

- O co wam chodzi? - wtrąciła się zdezorientowana Eloise.

- Kto się czubi, ten się lubi?

- Okreźną drogą zastanawialiśmy się, czy chcesz, żebym jeszcze  
dzisiaj odwiózł was do domu.

- Nie wiem, czy Harry'ego od razu wypuszczą ze szpitala.

- Eloise przez chwilę patrzyła na brata podejrzliwym wzrokiem,  
po czym się roześmiała. - Rozumiem, o co ci chodzi. Chcesz usunąć  
dzieci, żebyście mogli zostać sami?

- Nic podobnego! - zgorszyła się Hope. - Moja mama na to nie  
pozwoli.

- Cholera, a jej co do tego? - wyrwało się Ralphowi.

- Jak śmiesz tak mówić o mojej rodzicielce! - Pogroziła mu  
palcem i wstała od stołu, mówiąc gniewnie: - Ruszaj się, dobry  
wujaszku! Pozbywaj się dzieci.



- Szpital Deaconess? - zapytał, sięgając po słuchawkę. Rozmowa nie trwała długo.

- Już wraca. Powiedział, że jeśli nikt nie może po niego przyjechać, weźmie taksówkę.

- Też stęsknił się za dziećmi - cicho rzekła Eloise:

- Wiesz co, pojedziemy wszyscy. Zabierzcie najpotrzebniejsze rzeczy i odwożę was do domu. Resztę waszego dobytku przywiozę później. Odpowiada ci takie rozwiązanie?

- Kiedy możemy jechać? - spytała Eloise.

- Dziesięć minut temu - odparł jej brat.

- Ale jesteś gościnnie! Czy pani aprobuje ten plan? Hope zamrugła, połykając łzy.

- Zostałam przegłosowana. Dzieci muszą być z rodzicami.

Wszyscy rozbiegli się po domu. Nawet Rex kręcił się, jakby miał coś do zrobienia. Niebawem Hope stanęła koło drzwi frontowych, a Rex położył się u jej stóp. Z piętra zeszła procesja obładowana tobołkami.

- Serdecznie pani dziękuję - powiedziała Eloise. - Ma pani fantastyczne podejście do dzieci. - Objęła Hope i mocno uściskała. - Mojego brata też pani zawojowała.

- Idziemy - zawołał Ralph, otwierając drzwi. Rex wyszedł pierwszy.

- Ty zostajesz - mruknął Eddie ze smutną miną. Przytulił psa, który polizał go w nos. - Przestań! - szepnął.

Melody wyszła z sypialni uśmiechnięta. W połowie schodów posmutniała, a gdy stanęła na dole, miała mokre policzki. Popatrzyła na Hope oczami pełnymi łez.

- Mamusiu - szepnęła, pociągając nosem. Hope wzięła ją na ręce i przycisnęła do piersi.

- Nie płacz, serduszek. Mieszkasz niedaleko, więc będziesz często mnie odwiedzać.

- To nie to samo.

- Wszystko będzie dobrze. Pocałuj mnie i idź do mamusi.

Melody ucałowała ją gorąco i rzewnie się rozplakała. Wyszła z domu, zanosząc się od płaczu.

Ralph zajrzał przez uchylone drzwi, groźnie spojrzął na Hope i nakazał:

- Płacz wzbroniony!

- Przecież ja nie płaczę. To... to Melody...

- Przejdzie jej. Ma kochającą rodzinę, która się nią zajmie. -

Popatrzył na Hope z góry. - Ja migiem wrócę i zajmę się tobą.

- Myślisz, że ci się uda?

Oparła się o zamknięte drzwi. Gdy umilkł warkot samochodu, ciężkim krokiem poszła na piętro, aby spakować resztę rzeczy.

Powtarzała sobie, że nie wolno płakać, ale jej oczy nie były posłuszne.

Ralph dotrzymał obietnicy, tyle że nie Wrócił migiem. Nie było go trzy godziny, dwadzieścia minut i piętnaście sekund.

- Gdzieś ty się podziewał? Zabłądziłeś?

Zgłosiła pretensje takim tonem, że Rex wystraszył się i uciekł pod kanapę! Natomiast Ralph jakby wcale nie zauważył sarkazmu. Podbiegł i porwał ją w ramiona.

- Stęskniłaś się za mną?

- Phi! Też coś!

Ralph zamknął jej usta pocałunkiem, który trwał wieki. Kiedy się odsunął, syknęła rozgniewana:

- Dobrze, że mama nie widziała. Dostałbyś od niej!

- Pewnie nic dobrego, więc szczęście, że jej tu nie ma.

- I tak oberwiesz, bo wszystko powiem. Nie ujdzie ci na sucho.

A teraz zawołam Rexa na ratunek.

- Widzisz, jak trzęsę się ze strachu? - Ralph zrobił perskie oko i roześmiał się szelmowsko.

- Nie wierzysz, że jest groźny? Rex! Rex!

Sama się zdziwiła, że pies posłuchał rozkazu. Najpierw dało się słyszeć szuranie na pięttrze, a potem tupot na schodach. Rex wpadł do pokoju, warcząc, przywarł do podłogi i groźnie wyszczerzył kły.

- O holender! - wystraszyła się nie na żarty. - Nie... Rex... Siad!

Pies spojrzał na nią, jakby pytał: „O co ci chodzi, moja pani? Zdecyduj się”. Powoli usiadł.

- Skoczyłby mi do gardła?

- Lepiej nie ryzykować. - Odetchnęła z ulgą. - Sama się wystraszyłam.

- O pani, dziękuję, żeś mi darowała życie. - Ralph skłonił się z udaną pokorą. - Jeszcze nikt nie chciał rzucić mnie na pożarcie psu. W dodatku bezzębnemu!

Rex stanął na tylnych łapach i wyszczerzył kły.

- Widzisz, zrozumiał obelgę.

- Widzę. Jak mam go przeprosić?

- Psy też są wrażliwe, jak niektórzy ludzie. Z niewiadomych powodów Rex najbardziej lubi, gdy mówi się do niego „kici”. Na przykład: Rex, siad, kici. - Pies posłusznie usiadł, wysuwając oź. - Przekonałam cię?

- Nie do wiary, nie do wiary. Po ślubie trzeba będzie coś z nim zrobić.

Hope wyprostowała się.

- Po czym ślubie, jeśli łaska? Nie przypominam sobie, żebyś mi się oświadczył. Przysięgam, że jak się namyślisz, żeby to zrobić, dostaniesz kosza.

- DUBY SMALONE - zaśmiał się Ralph bez troski. - Oboje wiemy, że wyjdiesz za mnie. Twoja matka też jest tego pewna.

- Teraz ty pleciesz duby smalone. Skąd ta pewność, że ona wie, że wyjdę za ciebie? No, skąd?

- Skąd? Bo ją pytałem i przyznała, że to niezły pomysł.

- Pytałeś matkę, a nie zapytałeś mnie?

- Głupio wyszło, co? - przyznał Ralph pokornie. - Postąpiłem jak ostatni cymbał,

- Nie ostatni, ale pierwszy, ostatni i jedyny - powiedziała z gryzącą ironią. - Przyznaję ci pierwsze miejsce na konkursie cymbałów. Dlaczego mi się nie oświadczyłeś?

- Bardzo logiczny tok myśli - rzekł Ralph, wzdychając ciężko. - I zasadnicze pytanie.

- Nie potrafisz na nie odpowiedzieć?

- Potrafię. Odpowiedź mam gotową. Właściwie kilka, ale żadna nie jest dobra. Bo widzisz, było tak: już myślałem, że się pobierzemy, a ty wyskoczyłaś z tą rewelacją, że wychodzisz za męża. Więc się załamałem i pękło mi serce. Kim on jest?

- Kto?

- No, ten szczęśliwiec, za którego wychodzisz.

- Ralphie Browne, gdybym w liceum nie siedziała w sąsiedniej ławce, myślałabym, że skończyłeś zaledwie cztery klasy szkoły podstawowej.

Ralph wzruszył ramionami.

- Wyobraź sobie, że nawet doszedłem do matury. Ale do rzeczy: Kto ma być twoim mężem?

- Nigdy nie było innego kandydata.

- Nigdy? Ale kim jest wybraniec losu? Poznałaś go w waszej firmie?

- Nie.

- Cholerny świat, dowiem się wreszcie, kim jest ten człowiek, o którym mówiła Melody?

Hope stanęła tuż przed nim, założyła ręce do tyłu, aby ukryć, że drżą i uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Ty nim jesteś.

- Chyba się przesłyszałem.

- Nie.

- Czyli... Boże Wszechmogący, widzisz i nie grzmisz! A ja przez ostatnie tygodnie odchodziłem od zmysłów.

- Daleko odszedłeś? Cierpiałeś przeze mnie? Tym lepiej. Rex przeciągnął się i podszedł do swej pani.

- Rex, idź stąd. Na górę, kici. Czas na drzemkę.

Wierny pies cicho zaskomlił i posłusznie wyszedł. Hope i Ralph wzięli się za ręce.

- Dręczyłaś mnie z premedytacją? Przyznaj się.

- Przyznaję. Musiałam coś zrobić, bo zaczynałeś się szarogęsić.

Mama mi zdradziła.

Ralph uderzył się ręką w czoło.

- No jasne - jęknął grobowym głosem, ale przytulił Hope do piersi. - Powinienem był wiedzieć. Twoja słodka mamuchna...

- Nikt nie ma słodszej. Moja mama bez mówienia wie, co w trawie piszczy. - Objęła Ralpa za szyję i stanęła na palcach. -

Niedługo będzie twoją teściową, czyli prawie matką. Przewidziałeś to? - Pocałowała go, zanim zdążył odpowiedzieć.

- Żona, która ma taką matkę jest na wagę złota - powiedział, gdy dała mu szansę się odezwać.

Po drugim, bardzo długim pocałunku wziął ją na ręce, usiadł i posadził sobie na kolanach.

- Moja bidula.

- Bidula?

- Przyznaj się, że nie masz zielonego pojęcia, co cię czeka

- rzekł z uwodzicielskim uśmiechem amanta filmowego.

Hope nie miała zamiaru się przyznać.

- Co wiem, to wiem - powiedziała, chichocząc.

- Może trochę zdradzisz? Czy wiesz, na przykład, jakie atrakcje cię czekają, gdy już ślub złączy nas na wieki?

- Nie wygłupiaj się.

- Mama nie uświadomiła dziecka?

Hope rozejrzała się po pokoju. Znikąd ratunku! Zacisnęła zęby i pięści, niebezpiecznie zalśniły jej oczy.

- Nie chcę wiedzieć. Atrakcje, też wymyślił! Puść mnie!

- krzyczała. - Puść mnie ty... ty zbereźniku! Nie dotykaj mnie!

- Dziecino, zdradziłaś się.

- Jak mnie nie puścisz, zawołam Rexa, żeby...

- ...mnie pożarł?

- Dostałby niestrawności! Szkoda psa. Jeśli myślisz, że będziemy... Przestań ! Nie chcę...

- Chcesz, kochanie. Przekonam cię. I przekonał.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Hope! Co się stało?

Pani Latimore, niosąca łopatkę i dwie doniczki z różami, właśnie wychodziła, gdy jej najmłodsza córka zajęczała przed dom. Państwo Latimore'owie mieszkali w starym, drewnianym domu, stojącym nieopodal kościoła episkopalnego.

- Rodzice zabrali dzieci.

- Wrócili cali i zdrowi? Gdzie byli zakładnikami?

- W Sanjestanie.

- A tak, teraz sobie przypominam. Podobno są tam bardzo piękne jeziora. Kiedyś marzyłam, że wybiorę się w tamte strony...

Mieszkają daleko?

- Nie.

- Brak ci dzieci?

- Tak.

- Ale mam rozmowną córkę!

- Chciałam... co to ja chciałam...

- Wiesz, pójdziemy razem.

- Dokąd?

- Na cmentarz. Dziś są urodziny Henry'ego Chase'a.

- Kto to taki?

- Ojciec Becky. Jeśli zapytasz: „Kto to Becky?”, zapakuję cię do łóżka i zaaplikuję stosowne lekarstwo.



- Mamuś! Przecież pamiętam, kto to Becky. Moja najstarsza siostra, lekarka. Wyszła za mąż za Jake'a.

- Powiedziałaś to jakby z przekąsem. Chodź ze mną, dziecko. Nie mogę stać beczynn timer, bo mam jeszcze furę spraw do załatwienia.

Podawała córce łopatkę, wzięła ją za rękę i ruszyła ścieżką między domem a kościołem. Cmentarz leżał na tyłach kościoła, oddzielony od niego parkanem i rzędem starych wiązów. Przy furtce spotkały wdowę po poprzednim pastozze.

- O, Mary Kate, z nieba mi spadał. Nie mogę otworzyć furtki.

- Ja spróbuję. - Hope przecisnęła się między paniami.

- Jaka pociecha z dzieci - westchnęła pani Bethel ze smutkiem. - My z mężem zaplanowaliśmy co najmniej pięcioro, a nie mieliśmy ani jednego.

- Ależ, droga Thereso, mieliście ich pełną parafię. Wiesz, Hope, pani. Bethel przez całe życie uczyła dzieci w szkółce niedzielnej. A podczas naszego ślubu grała na organach.

- Na pewno bardzo pięknie... A gdyby teraz... ktoś chciał brać ślub i... żeby były organy...

- Jeśli zajdzie taka potrzeba - powiedziała jej matka - na pewno znajdziemy organistę. Prawda, Thereso?

- W ubiegłą sobotę były trzy śluby z całą oprawą. Starsze panie patrzyły jakby wyczekująco. Hope zmieszała się i odwróciła wzrok. Przypomniała sobie, że Ralph dał jej dwa polecenia. Pierwsze: „Nie wygadaj się”. Drugie: „Cichy ślub”. Posprzeczali się o jedno i drugie.

- Zdaje się, że muszę poważnie porozmawiać z moją córką -  
orzekła pani Latimore. - Przepraszam cię, Thereso.

Pożegnały wdowę i poszły do grobów rodziny Chase'ów.

- Pułkownik Henry Chase - odczytała Hope.

- Ojciec Becky. Mój pierwszy mąż - wyjaśniła matka.

- A ja myślałam, że Becky jest...

- To moja pasierbica, kochanie. Życie rodzinne Chase'ów było  
zagmatwane. Twój ojciec ożenił się ze mną, ale wszystkim dał  
nazwisko. - Pani Latimore jęknęła, położyła rękę na biodrze i ciężko  
usiadła na najbliższej ławeczce. - Oj, starość nie radość. Siadaj,  
kochanie. Musimy porozmawiać.

Hope zawsze miała się na baczności, ilekroć ktoś w rodzinie  
mówił: „musimy porozmawiać”. Niechętnie usiadła obok matki.  
Ralph zabronił jej wdawać się w szczegóły, lecz on był daleko, a  
matka tuż obok.

- O czym mama chce rozmawiać? - zapytała cicho.

- Dlaczego trzymasz zaciśnięte kciuki? Przejęłaś zwyczaj  
Browne'ów?

- On mówi... - Hope oblizwała zaschnięte wargi.

- Jaki on?

- Ralph.

- I co on takiego mówi?

- Że nasz ślub ma być cichy, bez ceregieli. Krótka wizyta w  
urzędzie stanu cywilnego... i koniec.

Pani Latimore roześmiała się serdecznie, więc córka oderwała wzrok od ziemi i spojrzała zaskoczona.

- W tym nie ma nic śmiesznego, mamó.

- Jest, i to dużo. Widzisz, kiedy twój ojciec mi się oświadczył, zachowałam się jak Ralph. Powiedziałam: „żadnych uroczystości, cicho, skromnie”.

- Taaak? Ale przecież wzięliście ślub kościelny.

- Oczywiście. Były drużby, drużbowie, tłum dostojnych gości. Miałam wrażenie, że poślubiam całe Latimore Incorporated. Ponieważ uroczystość odbywała się zimą, w pogotowiu stały pługi śnieżne, na wypadek, gdyby zasypało drogę do lub z kościoła. Nawet przygotowano helikopter! Do ochrony zaangażowano policjantów z trzech stanów. Ach, co to był za ślub!

- Jak... jak ty się czułaś, mamusi?

- Wyśmienicie, córeczko. Ślub jest dla panny młodej. Jej matka wszystko organizuje, ojciec płaci rachunki za wesele, a po odjeździe młodej pary goście uczują, zdrowo popijając i ukradkiem popłakując...

- Przecież ty nie miałaś rodziców.

- Tak, ale twój ojciec orzekł, że skoro jestem sierotą, Latimore Incorporated niejako spełni tę rolę.

- Jednego nie rozumiem. Dlaczego wszystko jest na głowie rodziny panny młodej? A co robi pan młody?

- O ile dobrze pamiętam, jego jedynym obowiązkiem przed ślubem jest sprawić sobie nowy garnitur i punktualnie stawić się przed

ołtarzem. To łatwe i proste. Ale potem jest odpowiedzialny za udany miodowy miesiąc i długie szczęśliwe lata w małżeństwie.

- Niech go diabli! Chciał się wymigać. Ją mu dam.

- Nie przeklinaj, zostaw to na później. Czy nie mówiłyśmy tylko teoretycznie?

- Mamo, ja nic na to nie poradzę... Chciałabym...

- Więc jednak zaproponował ci małżeństwo?

- Tak. Ale mało subtelnie, jak jaskiniowiec. Powiedział od niechcienia: „W przyszłym tygodniu mam wolny wtorek, więc może byśmy tak, najmilsza...?” Ja go zamorduję! - Wierzchem dłoni otarła łzę. - Mamo, czy tata też tak się zachował?

- Jeszcze gorzej, dziecino. Wierz mi, że masz szczęście. Powiem ci, co wydarzyło się tuż przed Bożym Narodzeniem i ślubem. Twój ojciec stracił cierpliwość do wybryków Mattie i wysłał ją do dziadków w Newport, a sam pojechał budować coś na środku Sahary. Tuż przed samymi świętami, wyobraź ty sobie! Wrócił dopiero, gdy go zawiadomiłam, że Mattie uciekła od dziadków podczas największej zamieci w historii... No widzisz, opowiadam ci stare dzieje.

- Czy... nie gniewaj się, ale czy... nie powiedziałaś czegoś, co go rozgniewało?

- Ja? - Policzki pani Latimore zaróżowiły się lekko. - Kiedyś mimochodem wspomniałam o pierwszym mężu... że bardzo go kochałam.

- Tylko tyle?

- Tylko tyle. Ani słowa więcej. A ty, co teraz zrobisz?

- Ja? Zostawię Rexa w domu, bo reumatyzm daje mu się we znaki i coraz trudniej mu się poruszać. I wracam, skąd przyjechałam, żeby zrobić... O, pani Bethel! Skończyła pani?

- Tak, już jest porządek. Jeżeli potrzebna rada duchownego, polecam wielebnego Duncana. To wprawdzie bardzo młody człowiek, ale rzeczowy.

- Dziękuję. Może skorzystam.

Wzrokiem odprowadziły panią Bethel aż do furtki.

- Przerwałaś na tym, że... - zaczęła pani Latimore. -...wracam i robię dziką awanturę.

Hope poderwała się i energicznym krokiem odmaszerowała.

W chwilę później pani Latimore usłyszała warkot zdezelowanego jeepa i prawie jednocześnie odgłos dwóch samochodów zajeżdżających przed dom.

- Ciekawe, kto przyjechał - mruknęła, nie ruszając się z miejsca.

Hope miała zamiar pędzić co koń wyskoczy, lecz zanim wyprowadziła jeepa, drogę zajechały jej dwa samochody. Z jednego wysiadł ojciec, z drugiego wyskoczył brat. Obaj patrzyli na nią z wyrzutem. Michael pomachał jej przed nosem jakąś kartką.

- Co na to powiesz? - warknął z wściekłością.

- Nie gorączkuj się, Synu.

- O co chodzi? - spokojnie zapytała Hope.

- O rachunek na sześćset tysięcy dolarów! - krzyknął

Michael. - Za jakąś akcję ratunkową w Sanjestanie. Chciałbym wiedzieć, kto za tym stoi, bo podpisano „Z upoważnienia członka

rodziny Latimore'ów". Już wszystkich pytałem i nikt się nie przyznaje. Zostałaś tylko ty! Więc?

Hope zasłoniła Oczy przed słońcem i spojrzała w górę.

- Sześćset tysięcy? To się nam upiekło. Myślałam, że będzie z półtora miliona.

- Cholera, dla niej tanio! Przecież to krocie... - Urwał, ponieważ ojciec położył mu dłoń na ramieniu.

- Za co jest ten rachunek, skarbie? - Bruce Latimore zwrócił się do córki.

- Musiałam ratować moją przyszłą szwagierkę - odważnie wyznała Hope. - Partyzanci zatrzymali grupę turystów jako zakładników i zażądali okupu.

Brat wyglądał, jakby się dusił, a ojciec objął ją i pocałował w czoło.

- Masz rację, że mogło być drożej. Czy mama o tym wie?

- O akcji ratowniczej nie, ale o szwagierce tak. To jest... chyba jej mówiłam. Mama została na cmentarzu i pewnie śmieje się ze mnie. Przepraszam was, ale muszę jechać wyrównać rachunki z pewnym panem.

Ojciec i brat wybuchnęli gromkim śmiechem.

- Zapłaciliśmy taką cenę - powiedział Michael - że jadę z tobą, żeby zobaczyć to kino.

- Niedoczekanie - burknęła siostra. - Mama powiedziała, że ma furę roboty. Co to znaczy?

- Chyba nic specjalnego - odparł ojciec. - Twoja matka zawsze ma furę roboty. I widzę, że jej najmłodsza dziecina też ma pełne ręce.

Hope wyjrzała przez okno i syknęła:

- Tato! Ile razy mam ci powtarzać, że nie jestem dzieciną?

- Patrzcie państwo! - mruknął pan Latimore, patrząc na syna, - Kiedy ona dorosła? O, idzie mama z jakąś tajemniczą miną. Ciekawe, co dostaniemy: burę czy coś na ząb.

Ralph Browne nerwowo chodził z kuchni na werandę i z powrotem, cały czas mruczając pod nosem:

- Do diaska, gdzie ona się podziewa? Tak nie można. Gdzie i dlaczego? Go jej do głowy strzeliło? Ja jej się oświadczyłem, a ona wybiegła i tyłem ją widział. Czy to znaczy, że mnie porzuciła? Gdyby dzieci były w domu, na pewno siedziałyby na miejscu.

Usłyszał nadjeżdżający samochód, więc wyjrzał, przez okno. Z nowiutkiego porsche'a wysiadł Alfred Pleasanton.

Ledwo doszedł do werandy, za zakrętem ukazał się dychawiczny jeep i klekocząc, wjechał na podjazd.

Ralph chyłkiem uciekł do bawialni, gdy usłyszał głosy za frontowymi drzwiami.

- Jak mnie nie puścisz - krzyknęła Hope — to ci powybijam wszystkie zęby!

- Ty? Przestań mnie drapać!

- Puść mnie, zanim zawołam Rexa.

- Ha, ha! Widziałem, że zostawiłaś tego trupa u rodziców. A dzieci odesłaliście na Myrtle Street.

- Ralph jest w domu - powiedziała Hope drżącym głosem.

- Wątpię.

Ralph otworzył drzwi na oścież.

- Wątpię, więc jestem, mądralo? Dlaczego nie zrobisz tego, o co dama cię prosi?

- Słuchaj no, Browne, nasze poprzednie spotkanie źle wypadło. Gdyby ten smarkacz nie przyniósł pistoletu, nie miałbyś szans. Wracaj do pracy, pókim dobry. - Zerknął w głąb korytarza. - Ja poskromię tę złośnicę, a potem się z nią ożenię. Albo i nie ożenię. Jak noga, karle? Niebezpiecznie łamać kończyny.

- Oczywiście - przyznał Ralph spokojnie. - Widzę, że zaszło jakieś drobne nieporozumienie. Byłem pewien, że ja poślubię tę pannę i nawet wybierałem się do jej ojca.

- Nie trać czasu, Browne. Ja już mam zgodę ojca. Matka też nie jest przeciwna.

- Hope, bądź tak dobra i zrób mi kawę.

- Jesteś pewien, że... że... dasz mu radę? - wyjąkała przerażona.

- Ja na pewno, ale Pleasanton chyba nie. Powiedziałaś matce? - Hope skinęła głową. - I jak zareagowała?

- Roześmiała się.

- Roześmiała?

- Mądra kobieta - pochwalił Alfred. - Idź, zrób kawę, bo zaraz Browne'owi się przyda.

- Ty...



Przed drzwiami do kuchni Hope odwróciła się. Zobaczyła, że Ralph wysoko podskoczył i walnął Alfreda w splot słoneczny. Pleasantona odrzuciło aż pod ścianę, gdzie padł bez życia. Hope złapała brudny rondel i zawróciła.

- Ralph, nie tak. Złamiesz mu szczękę. Jego matka nigdy ci nie daruje.

- Przecież nie zdzieliłem go w zęby. Ale poniosło mnie, gdy usłyszałem, jak wyraża się o tobie. Wyrzuć ten rondel.

Hope rozluźniła palce i żelazny rondel osunął się na podłogę, po drodze głucho odbijając się od głowy Pleasantona.

- Teraz chodź tutaj.

- Nie rozkazuj.

- Nie rezonuj.

Hope niechętnie wykonała polecenie, lecz wcale się nie przybliżyła do Ralpha. Gdy ona postąpiła dwa kroki do przodu, on cofał się jeden do tyłu. Aż poczuł, że dotarł do fotela. Usiadł.

- Czy pamiętasz, co ci mówiłem o nocy poślubnej? - Przez jego twarz przebiegł ironiczny uśmiech. - Obiecywałem ci same przyjemności.

- Które brzmiały jak groźby.

- Chyba nic z tego nie będzie.

- Nic?

- Nic a nic - odparł, masując łydkę.

- To i owo nawet mi się podobało.

- Byłabyś zachwycona, ale to szczęście nie dla nas.

- Dlaczego, kochany?

- Dlatego, ukochana, że chyba znowu złamałem nogę. Hope aż jęknęła, a następnie mruknęła:

- To ci historia. Hmm, chyba nie mam ochoty na ślub z kuśtykającym panem młodym.

Pleasanton stęknął i usiadł. Spojrzeli na półprzytomnego Alfreda.

- Ten drań może jeszcze podskoczyć. - Ralph patrzył na przeciwnika z bezbrzeżną pogardą. - A moja runda skończona.

- Nie martw się.

Najmniejsza latorośl rodu Latimore'ów podeszła do Alfreda.

- Idziemy, wielkoludzie. - Pomogła mu wstać i doprowadziła do stopni werandy. - Używaj życia - rzekła, odsuwając się.

Alfred zachwiał się i chciał się chwycić poręczy. Hope dotknęła go jednym palcem prawej ręki. Nie wiadomo, co to sprawiło: siła jednego palca czy podmuch wiatru, dość że Pleasanton sturlał się ze schodów i z pluskiem wpadł w olbrzymią kałużę. Hope, zadowolona z takiego obrotu sprawy, spokojnie wróciła do Ralpha.

- Co mu zrobiłaś? - spytał zaniepokojony.

- Nic takiego. Ustawiłam go twarzą do drogi... Potknął się o tę dziurę, którą miałeś załatać. Wciąż się wymigiwałeś, a ten drań gotowy nas zaskarżyć o to, że...

Okręciła się w kółko, przytrzymała spódnicę i rozsiadła na kanapie.

- A teraz, najdroższy, porozmawiamy o moim weselu...

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Twoje wesele? Myślałem, że ta skromna ceremonia będzie wspólna dla nas obojga. Co ty knujesz, jakąś rewolucję pałacową? Wydaje mi się, że jasno wyłożyłem mój punkt widzenia. Zdecydowałem, że się pobieramy i że ja tu będę rządził.

- Panie Browne, nigdy nie było mowy o tym, kto tu będzie rządził. Na pewno ty będziesz głową rodziny, a ja, obiecuję solennie, będę przestrzegać wszystkich, no większości, obowiązujących przepisów. - Wyprostowała się i dodała: - Jedyne przywileje, jakiego żądam, to zezwolenia na nadawanie imion naszym córkom. Chyba niezbyt wygórowane wymaganie, prawda? Dlaczego się krzywisz? Coś źle?

- Trudno powiedzieć - mruknął Ralph - ale chyba źle z nogą. Boli coraz mocniej. Jak myślisz, kogo lepiej wezwać: rodzinnego specjalistę czy pogotowie?

- Już wzywam pogotowie. - Telefonując, patrzyła na niego ze współczuciem. - Niedługo przyjadą - poinformowała, odkładając słuchawkę. - Połóż nogę wyżej i przestań nią machać. A wracając do zasadniczego tematu, czy wiesz, że rodzice narzeczonej są zobowiązani pokryć koszt wesela?

- Przecież twoi przeze mnie nie zbankrutują - obruszył się Ralph. - Zresztą, stać mnie na to, żebym sam zapłacił za ślub cywilny.

- O, bardzo ładny gest z twojej strony. Trzeba to tylko dobrze zgrać.

- Co z czym i z jakiej racji?
  - Dwa śluby i z takiej racji, że ja biorę kościelny, z całą oprawą i pompą. Chyba jakoś się zgodzimy, byle tylko twoja uroczystość nie kolidowała z moją.
  - Czuję jakiś spisek. - Ralph powoli cedził słowa. - Pewnie tyle dziś czuję przez tę nogę... Czyli bierzesz ślub kościelny, tak? Suknia z welonem, druhny, muzyka i tak dalej?
  - Oczywiście. Jeszcze nie pytałam Melody, czy zechce nieść kwiaty, ale na pewno będzie zachwycona.
  - Do czorta, chwileczkę! Powiedziałem, że bierzemy ślub cywilny.
  - Nie powtarzaj się, mam dobrą pamięć.
  - Więc nie będzie żadnej podwójnej uroczystości i basta!
  - O co tak się pieklisz? We Francji można wziąć i ślub cywilny, i kościelny. Dlaczego my byśmy nie mogli?
  - Powiedziałem...
  - Uspokój się. Nie wstawaj, bo sobie zaszkodzisz. - Przechyliła głowę na bok, nasłuchując. - Chyba jedzie karetka.
  - Żadnego dublowania ceremonii - warknął.
  - Uwielbiam, kiedy tak burczysz - szepnęła Hope, chichocząc.
  - Żadnej powtórki z rozrywki - rzucił Ralph, groźnie łypiąc okiem.
- Hope westchnęła i splotła ręce.
- Szkoda - rzekła, smutno kiwając głową. - Widzę, że będę musiała poszukać sobie innego adoratora. Może jeszcze znajdzie się w

Eastport jakiś znośny kandydat do wzięcia. - Zrobiła żalostną minę. -  
A ty poproś siostrę, żeby na czas choroby wzięła cię do siebie. -  
Zamrugnęła kilkakrotnie powiekami, lecz nie wydusiła z oczu żadnej  
łzy. - Chyba zacznę żałować, że tak bezceremonialnie potraktowałam  
Alfreda. Wprawdzie nie umywa się do ciebie, ale na bezrybiu i rak  
ryba.

Wyjęła z kieszeni chusteczkę, którą teatralnym gestem  
przytknęła do suchych oczu. Rozległ się dzwonek, więc poszła  
otworzyć drzwi.

- Dzień dobry. Znowu kłopot z Browne'em?

- Tak.

- Przecież uprzedzali go, żeby uważał. Dwa razy ta sama noga i  
kłopoty do końca życia.

- Na pewno słuchał, ale w danej chwili nie pamiętał. Zresztą  
uważa, że złamał drugą nogę. Musiał załatwić pewne męskie  
porachunki, wie pan, sprawa honoru. Pan jest jego wzrostu, więc  
niech mi pan zdradzi, czy niższy mężczyzna zawsze wpada w szal,  
gdy mu się wytyka jego wzrost?

- Kobieto! - ryknął Ralph takim głosem, że Hope struchlała.

- Słucham, mężczyzno?

- Jadę do szpitala. -Wiem.

- Kiedy wrócę, ma tu być cisza, porządek i posłuszeństwo.

Należy tak tańczyć, jak ja zagram. I odpowiadać: „Służę panu”.

- Oczywiście... służę panu.

- Po powrocie skonsultuję się z twoją matką, a potem bierzemy ślub. Słyszysz?

- Tak, proszę pana. Nie jestem głucha. Moja mama uwielbia konsultacje, a śluby jeszcze bardziej.

- Zamknij się.

- Już, proszę pana. Służę panu. Ale chciałabym nieśmiało zapytać, czy na pożegnanie dostanę buziaka.

- A nie chcesz dostać prztyczka w nos? - spytał Ralph, całując ją z dubeltówki.

Niebawem w domu państwa Latimore'ów i w kościele zaczęto wprowadzać drobne modyfikacje ze względu na kondycję pana młodego. Na schodach kościoła i domu położono deski, które pomalowano na biało.

Kilka dni później pewna niewysoka młoda kobieta przymierzyła piękną ślubną suknię z białego jedwabiu, na sutej halce z tafty. Spod powłóczystej sukni wystawały jedynie dziesięciocentymetrowe obcasy białych pantofelków. Złoty diadem z krótkim welonem zdobił kunsztowną fryzurę.

- Jak wypadła suknia? - spytał Ralph, który nie był obecny przy przymiarce.

- Na pewno ci się spodoba - odparła Hope. Może nawet będziesz zachwycony.

- A nie mógłbym zachwycić się dzisiaj?

- Nie - zdecydowała przyszła oblubienica. - Wszystko zostaje na dzień ślubu. Tyle razy ci mówiłam, że nie uznaję połowiczności.

- I tyle przyjemności marnujesz.

Przekomarzali się w domu Hope w Eastport. Rodzice siedzieli na kanapce, narzeczona na fotelu, a narzeczony na wózku inwalidzkim. Nagle pani Latimore wstała i pociągnęła męża za rękaw.

- Czas na nas. Idziemy na górę.

- Ależ, duszko - Bruce Latimore uśmiechnął się porozumiewawczo - nie przerywaj w najciekawszym momencie.

- Najciekawszy moment, też coś! - Pociągnęła go mocniej. - Mój drogi, już nie te lata i potrzebujemy więcej snu. Dla nas tam - wskazała sufit - powinno być ciekawie.

- O co twojej matce chodziło? - spytał zaintrygowany Ralph, gdy zostali sami.

- Dowiesz się, kiedy dorośniesz. Za tydzień - odparła Hope z wesołymi iskierkami w oczach.

- Obiecujesz?

- Przysięgam. - Hope położyła prawą rękę na sercu, ale lewą, z kciukiem zaciśniętym na szczęście, schowała.

- Czuję się coraz bardziej nieswojo. - Ralph zadumał się głęboko. - Wiesz, lepiej od razu wybij sobie z głowy, że będziesz rządzić w naszym domu jak twoja matka tutaj.

- Ja miałabym rządzić? - Skromnie spuściła oczy. - Mama też nie rządzi, tak ci się tylko wydaje. Nie myślisz chyba, że mojego ojca można rozstawiać po kątach? To on rządzi wszystkim i wszystkimi. Dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Ehm... Wierzę ci na słowo. Chodź tu do mnie.

- Po co?

- Nie zadawaj głupich pytań, tylko chodź.

Hope podeszła trzy kroki i pochyliła się nad wózkiem. Ralph schwycił ją i posadził sobie na kolanach.

- Uważaj! - krzyknęła przestraszona.

- Na co? Mam złamaną nogę, ale reszta jest w porządku.

Przytulił ją i zaczął całować, najpierw delikatnie, potem coraz goręcej. Kiedy przestał, Hope nie mogła złapać tchu, miała zarumienione policzki i zamęt w głowie.

- No, wiesz?

- Wiem. Nie szarp się, bo cię upuszczę.

- Jak śmiesz?

- Oj, śmiem, śmiem i to jak - roześmiał się. - Wszystko mi się nie uda, ale będę próbował. - Położył rękę na błyskawicznym zamku sukni.

- Coooo...?

Zamek rozpiął się błyskawicznie.

- Zabraniam!

- Zabraniaj, ale ja i tak zrobię, co zechcę. - Pocałował jej odsłonięte piersi. - Jesteś tym zachwycona, prawda? - Pocałował jeszcze raz. - Ja też.

- Przestań - słabo broniła się Hope. - Jak rodzice... Rozległ się dzwonek przy drzwiach. Ralph zdawał się nie słyszeć i Hope daremnie wyrywała się z jego objęć. Zadzwoniono powtórnie.

- Ralphie Browne!



- Cicho szepnął, całując ją w usta. - Gość pomyśli, że nikogo nie ma w domu. Zresztą, pewnie przyszedł jakiś domokrażca.

Nie zgadł. Drzwi uchyliły się i piskliwy głosik zawołał:

- Wujku, gdzie jesteś?

Melody w podskokach wpadła do pokoju, a za nią dostojnie wkroczyła jej matka.

- Przyszliśmy z wizytą. Ciociu, co robisz?

- Coś wpadło cioci do oka - wyjaśnił wujek. - Pewnie rzęsa. Próbowałem poratować ciocię. Witaj, Eloise.

- Dzień dobry, braciszku. Rzęsa, he?

- Tylko tyle masz do powiedzenia? He? Nie wymawiam ci, siostrze, ale opiekowałem się twoimi... dziećmi... przez rok, więc teraz, w takiej chwili...

- Gorący moment, co?

- Siostruniu, bądź łaskawa się przymknąć. Na czym to ja skończyłem?

- Na gorącej chwili.

- Właśnie... Nie wierzysz, że ratowałem Hope i chciałem usunąć żdźbło z jej oka? Wszystko z czystej miłości.

- Czy to prawda?

- Gdybym jeszcze była stuprocentowym Latimore'em, miałabym niejaki wątpliwości. Ale skoro jestem już jedną nogą w waszej rodzinie... - Hope urwała, aby zaczerpnąć tchu. - Dlatego muszę twierdzić, że wszystko, co Ralph mówi, jest prawdą.

- Nie do wiary! Już cię wytresował? Taki poskromiciel lwa?

- Co za porównanie! - oburzyła się Hope. - Nigdy nie byłam lwem. Nawet lwicą też nie. Wiem tylko to, czego nauczyła mnie moja rodzicielka.

- I cóż takiego ci powiedziała ta dobra kobieta?

Hope zsunęła się z kolan Ralpha, poprawiła suknię i wyrecytowała, jak zadaną lekcję:

- Rodzina nie może obyć się bez głowy. Ralph zostanie tą głową. Ja będę robić wszystko, co on każe. Z wyjątkiem tego, z czym absolutnie się nie zgodzę. W takim wypadku ruszę niebo i ziemię, byle zrobić to, co ja chcę. Skończyłam.

- No, no, dobraliście się w korcu maku. - Eloise westchnęła. - Życzę wam szczęścia na przyszłość, a teraz przypominam, że jest pięć po jedenastej.

- Już? - zdziwił się Ralph. - A rzeczywiście. Od czasu szarpaniny z Pleasantonem mój zegarek nie chce przyzwocie chodzić. Do lunchu jeszcze daleko.

- Ale pięć minut temu mieliśmy spotkać się w kościele na próbie generalnej ślubu, o którym tak głośno.

- Wiedziałam, że zapomnisz o najważniejszym. - Hope popatrzyła na Ralpa oskarżycielskim wzrokiem.

- Ja zapomniałem? Czyj to był pomysł? Ja chciałem wziąć ślub cywilny, ale nie, musi być kościelny, z dzwonami i organami...

- Nie zdążymy na... na... - pisnęła Melody.

- Na próbę generalną - podpowiedziała Eloise. - Tam już czeka pewien młody gniewny...

- Michael!

- Tak, twój wielki brat.

Hope z trudem zachowała powagę.

- Ciociu, ten pan powiedział, żeby ciocia podniosła...

- Melody, nie gadaj tyle — skarciła ją matka. - Dama nie plotkuje i nie powtarza rzeczy, które uchodzą tylko mężczyznom.

Dziewczynka zamyśliła się, spojrzała na Hope, jakby szukała współczucia.

- Bardzo trudno jest być damą, prawda, ciociu?

- Okropnie ciężkie zadanie - przyznała już prawie prawdziwa ciocia.

- Załatwione - powiedział Michael. - Jeszcze dziś poprawimy rampę.

- Kiedy? - Hope rzuciła bratu wściekle spojrzenie i tupnęła nogą.

- Niewiele brakowało, a Ralph wylądowałby pod schodami.

- Twoja wina, moja mała. Oferowałem pomoc, ale ty musisz się wymądrzać.

Hope poczerwieniała.

- Jak ty się wyrażasz? Nie jestem twoją małą! Jesteś ode mnie młodszy.

- Hope - wtrącił się przyszły szwagier - nie drażnij brata. To bardzo wrażliwy człowiek.

- Wrażliwy... - przedrzeźniła go Hope. - Jak głaz.

- Kochanie - odezwał się Ralph.

Wszyscy zamilkli. Hope policzyła do dziesięciu, aby się trochę uspokoić.

- Ale...

- Przestań. Nie lubię pyskatej kobiety.

Wszyscy uśmiechnęli się ukradkiem, a Hope zrobiła obrażoną minę i odsunęła się. Michael zwiózł Ralpa.

Nadaśana Hope zerknęła na swoją siostrę Faith i szepnęła:

- Nie muszę tego znosić, prawda?

- Czy ja wiem... Nie ma ryby bez ości i mężczyzny bez złości.

- Jeszcze mogę wstąpić do klasztoru.

- Teoretycznie rzecz biorąc, możesz - odparła Faith, -

Najpewniej trzydziestego lutego... - Pociągnęła siostrę za rękaw. -

Powiedziałam...

- Słyszałam.

- Nie ma rzeczy niemożliwych - mruknęła Faith, zastanawiając się, jak delikatnie zadać niedyskretne pytanie.

- A czy... może... straciłaś cnotę?

- Nic nie straciłam - burknęła Hope. - Wypada do ślubu żyć cnotliwie.

- Dwadzieścia cztery lata i...

- Co to ma do rzeczy?

- Nic, nic - spieszyła się Faith. - Myślałam, że może trochę boisz się fizycznych kontaktów. Ale nie boisz się, co?

Hope była przekonana, że niczego się nie boi, ponieważ matka odpowiednio ją uświadomiła.

- Umówmy się, że zadzwonisz do mnie pojutrze i wtedy porozmawiamy o klasztorze - zaproponowała Faith. - Nie zapomnisz?

Hope wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć, że zawsze o wszystkim pamięta. Urażona Faith odeszła, a ona, widząc, że Ralph siedzi sam, jakby opuszczony przez wszystkich, podeszła do niego.

- Co cię zatrzymało? - zapytał tak pieszczotliwym tonem, że Hope poczuła rozkoszny dreszcz przebiegający jej po krzyżu. - Wiesz, zdecydowano, że masz być moim kierowcą.

- Kto zdecydował i dlaczego? Mattie miała wykonać najcięższą robotę, nie ja. Skąd ta zmiana?

Ralph uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Mnie nie pytaj, Rzadko nadążam za tokiem myśli najmłodszej córki Latimore'ów, więc nawet nie próbuję w wypadku pozostałych. Mattie i Faith poszeptały między sobą, a potem mnie poinformowały, że ty jesteś moim woźnicą.

Hope zachnęła się, lecz nic nie powiedziała. Otworzyła drzwi samochodu i bezradnie rozłożyła ręce.

- Jak mam cię wsadzić?

- Spróbuję podskoczyć na jednej nodze, ale muszę oprzeć się na tobie.

Ugięła się, gdy całym ciężarem oparł się na niej. Zaskoczyło ją, że stosunkowo niewysoki mężczyzna jest tak samo ciężki jak Michael.

- Musisz mi jeszcze trochę pomóc - mruknął Ralph tuż przy jej uchu.

Przytrzymała go, gdy wsiadał. Zdziwiła się, że zrobił to z wdziękiem baletmistrza. Pozostało uporać się z wózkiem inwalidzkim.

Brat chciał jej pomóc, lecz ujęła się honorem i odrzuciła jego ofertę. Długo się szamotała, zanim złożyła wózek i umieściła w bagażniku. Myślała, że to już koniec kłopotów, a tymczasem okazało się, że w cudzym samochodzie ma za krótkie nogi. Szarpnęła fotel.

- Włącz najpierw silnik, potem poprawisz fotel - pouczył ją Ralph. - Te wozy są zautomatyzowane.

- Skąd ty wszystko wiesz? - mruknęła.

- Nie wszystko. Przesuń się trochę w moją stronę. Hope przesunęła się, nie bez wewnętrznych oporów.

- Pocałuj mnie — padła następna komenda.

- Ale... cała rodzina patrzy.

- Nie tylko rodzina, ale sąsiedzi i cały chór - uściślił Ralph, śmiejąc się z cicha. Poklepał się po kieszeni. - Tu mam pozwolenie nie tylko na całusy.

Hope siedziała bez ruchu, ze zwieszoną głową. Drgnęła, gdy poczuła, że Ralph obejmuje ją i odwraca ku sobie.

- Tego chciałem - szepnął.

Całował ją tak długo, że zapomniała, iż w samochodzie nie ma firanek. Zaczęła drzeć na całym ciele. Kiedy wreszcie się odsunął, myślała, że nie zdoła doprowadzić samochodu do domu.

Ruszyła w chwili, gdy usłyszała odgłosy piły i młotków, co oznaczało, że Michael dotrzymał słowa i niezwłocznie zabrał się do naprawiania rampy. Uśmiechnęła się i bezwiednie zaczęła gwizdać.

- Przestań! - zganiał ją Ralph. - Pogwizdująca dziewczyna i szczekający pies przynoszą nieszczęście.

- Phi! - prychnęła, nadal pogwizdując. - Głupie przesady.

- Psiakrew! Mówię ci, że to zły znak.

Kiedy dojeżdżali do domu, syknął z wściekłością:

- Cholerny świat, kogo diabli nadali? Czyj to samochód?

- Twojej siostry.

- O, dzieci na werandzie. Do czorta, liczyłem, że...

- Ja też.

Eloise zbiegła ze schodów, wołając:

- Dzięki Bogu, że już jesteście.

- Co się dzieje? - spytała Hope przez okno.

- Muszę zawieźć Harry'ego do szpitala. Znowu noga. Nie miałam z kim zostawić dzieci... Do ślubu już wszystko przygotowane, więc nie macie nic do roboty i chyba nic przeciwko, prawda? Nie pogniewacie się?

Nie czekając na odpowiedź, pobiegła do samochodu.

- Niespodzianka, co ciociu? - spytała Melody.

- Całkiem niespodziana - przyznała Hope. - Ale podobno od tego jest rodzina.

Przybiegł Eddie.

- Zaraz będzie trening! - krzyknął, prawie płacząc. - Nie mam jak dojechać na boisko.

- Zawiozę Cię - wspaniałomyślnie zaoferowała się Hope. - Zaprowadzimy wujka do domu, zostawimy pod opieką trzyletniej pielęgniarki i pojedziemy. Dobre rozwiązanie?

- Bardzo.

- Jak dla kogo - warknął Ralph.

- Wujek jest bardzo dobry - orzekła Melody.

Z trudem doprowadzili dobrego wujka do bawialni i posadzili na kanapie. Hope i Eddie zaczęli szykować się do wyjścia.

- Nawet nie dostanę lunchu? - upomniał się Ralph.

- Eddie ma tam być za pół godziny: Przepraszam.

- Ja wujkowi zrobię lunch - pocieszyła go Melody. - Ale będzie zimna owsianka, bo nie wolno mi dotykać piecyka.

- Stokrotne dzięki - rzekł Ralph, mało zachwycony taką perspektywą. - Hope, wracaj jak najszybciej.

Nie rozumiał, dlaczego jego słowa ją rozbawiły. Wybiegła, śmiejąc się serdecznie.

Nazajutrz na ustach Hope błąkał się bardzo niepewny uśmiech. Stała wsparta na ramieniu ojca i patrzyła w głąb kościoła. Przed ołtarzem, jakby na drugim końcu świata, siedział Ralph na wózku inwalidzkim. Bała się, że uroczystość się nie uda, ponieważ poprzedniego dnia prześladował ich pech od rana do wieczora.

Przed południem Ralph nieomal wypadł z wózka. Po południu zaś było urwanie głowy. Trening Eddiego przeciągnął się aż do



podwieczorku, a Eloise zabrała dzieci dopiero po jedenastej. Ralph o dziesiątej zasnął kamiennym snem i do rana spał jak zabity.

Zabrzmiały organy. Melody, zapominając o pouczeniach, wybiegła przed pannę młodą i szła, obrywając płatki róż z bukietu ślubnego. Co kilka kroków przystawała i podawała płatki najbliższym siedzącym. W piątej ławce zobaczyła Eloise, więc wręczyła jej pół bukietu.

- To moja mama - powiedziała głośno.

Podczas całej uroczystości uparcie stała między nowożeńcami i usiłowała pomóc pastorowi. W związku z tym ceremonia znacznie się przeciągnęła. Pastor zaczął się denerwować, ponieważ jeszcze dwie młode pary czekały na ślub.

Przyjęcie weselne odbywało się w ratuszu. Wokół stołów zasiedli wszyscy najważniejsi obywatele miasta i ich mniej ważni krewni z okolicy. Po niecałej godzinie biesiadowania pani Latimore podeszła do córki.

- Twój mąż wygląda na zmęczonego.

Z trudem udało się jej przekrzyczeć orkiestrę. Wynajęci muzycy grali z niebywałą werwą, aby im nie zarzucono, że za nic biorą pieniądze. Hope uważnie spojrzała na Ralpha i przyznała matce rację.

Wobec tego zaniecono pana młodego do samochodu. Michael wziął siostrę na ręce, okręcił się z nią kilka razy i pomógł jej wsiąść do mercedesa.

- Gdzie spędzicie miodowy miesiąc? - zapytała Eloise, obrzucając pannę młodą ryzem.

- Nie powiem - odparła Hope, skromnie spuszczać oczy.

- W domu i w łóżku - bez żenady odparł jej mąż. Pojechali więc do domu i do łóżka.

W domu, zamkniętym na wszystkie spusty, Hope Latimore Browne stanęła wobec największego problemu w życiu.

- Ralph?

- Co, kochanie?

- Ja... nie wiem... co mam... robić.

- Ja wiem co nieco, najdroższa. I zaraz ci powiem.

Na podanie instrukcji wystarczyły trzy minuty. Na wprowadzenie jej w czyn nie starczyło całej nocy. Nad ranem zasnęli zmęczeni, ale bardzo szczęśliwi. Po przebudzeniu Hope Browne natychmiast sięgnęła po telefon.

- Co ty kombinujesz? - zapytał Ralph sennym głosem.

- Muszę porozmawiać z Faith.

- Teraz?

- Teraz zaraz.

- Dlaczego?

- Panie Browne, proszę się nie wtrącać w nie swoje sprawy. No, ostatecznie mogę ci powiedzieć. Obiecałam siostrze, że za-dzwonię i powiem, czy idę do klasztoru.

- Że co? Gdzie idziesz? Jakie лихо podsunęło ci taki pomysł? Hope przeciągnęła się jak kotka.

- Chcę jej powiedzieć, że się tam nie wybieram. Cieszysz się?